Krystyna Skarbek – szpieg, dama, pierwowzór Jamesa Bonda



Krystyna Skarbek, występująca też jako Christine Granville, Francja, sierpień 1944, fotograf nieznany, źródło: Wikimedia Commons

Była kobietą z innego czasu — z epoki, w której jeszcze wierzono w honor, prawdę i odwagę. Krystyna Skarbek, córka polskiego hrabiego, przyszła na świat w Warszawie w 1908 roku, gdy stare imperia jeszcze trwały, a Polska dopiero miała się odrodzić. Jej dzieciństwo upłynęło w cieniu dworu, wśród szeptów o przodkach, którzy służyli królowi i cesarzowi, o koniach, polowaniach i salonach, w których dyskutowano o Chopinie i Sienkiewiczu.

Ojciec, **Jerzy hrabia Skarbek**, pochodził ze starego rodu herbu Abdank, którego historia sięgała średniowiecza. W rodzinnych opowieściach powracały echa świetności dawnych Skarbków — właścicieli ziem, dobroczyńców, mecenatów sztuki. To właśnie **Skarbkowie z Żelazowej Woli** byli właścicielami dworku, w którym urodził się Fryderyk Chopin i jego rodzicami chrzestnymi. Jednak w czasach Krystyny ich świat chylił się ku końcowi. Długi, roztrwonione majątki i przemiany społeczne sprawiły, że tytuły szlacheckie stawały się już tylko wspomnieniem dawnej chwały.

Matka Krystyny, Stefania z Goldfederów, pochodziła z zupełnie innego świata — z rodziny żydowskich bankierów, bogatych i nowoczesnych, których fortuny powstawały w bankach i

fabrykach Łodzi. To jej posag ocalił nazwisko Skarbków przed upadkiem. A jednak w duszy Krystyny grało to, co odziedziczyła po ojcu: dumę i nieokiełznaną potrzebę wolności.

Z polskich dworów do podziemia

Gdy wybuchła wojna, Krystyna była już kobietą doświadczoną przez życie i małżeństwa, lecz to właśnie wojna stała się jej prawdziwym przeznaczeniem. W 1939 roku, w Paryżu, zgłosiła się na ochotnika do brytyjskich służb specjalnych. Miała 31 lat, urodę filmowej gwiazdy, perfekcyjny francuski i odwagę, która stała się legendą. Została przyjęta do **Special Operations Executive (SOE)** — tajnej organizacji utworzonej przez Churchilla, której zadaniem było „zapalenie Europy".

Pod przybranym nazwiskiem **Christine Granville** rozpoczęła grę, w której stawką było życie — jej własne i setek innych ludzi. Już pierwsza misja uczyniła z niej postać niemal mityczną. Zimą 1940 roku, w futrze i narciarskich butach, przemykała przez Tatry, przewożąc meldunki i mikrofilmy z Węgier do okupowanej Polski. W mrozie, w wichrze, często sama, kierowała się intuicją i odwagą. Jej przewodnik, góral z Zakopanego, wspominał później, że „nigdy nie widział kobiety tak spokojnej w obliczu śmierci".

W Budapeszcie, gdzie stacjonowała przez kilka miesięcy, stworzyła sieć kontaktów i przekazów, dzięki którym do Londynu

trafiały pierwsze wiarygodne raporty o sytuacji w okupowanej Polsce. Używała wielu nazwisk, w tym **Paulina Armand** i **Madame Granville**, potrafiła zjednać sobie arystokratów, dyplomatów i prostych żołnierzy.

Po upadku Francji i Węgier została wysłana na kolejne misje do Afryki Północnej i Francji. Tam właśnie dokonała jednego z najśmielszych czynów w historii alianckiego wywiadu — **uratowała dwóch agentów SOE, Francisa Cammaertsa i Xana Fieldinga**, uwięzionych przez Gestapo. Weszła do więzienia, rozmawiała z niemieckim oficerem, używając nie tylko uroku, lecz i argumentów finansowych, a także groźby rychłego odwetu po zbliżającym się zwycięstwie aliantów. W ciągu kilku godzin więźniowie byli wolni.



Morgane Polanski jako Krystyna Skarbek w filmie „Skarbek”, w reż. Jamesa Marquanda, 2024 r., fot. materiały prasowe

Krystyna Skarbek nie nosiła broni, nie używała przemocy. Jej bronią była inteligencja, odwaga i kobiecy wdzięk. W raportach brytyjskiego wywiadu opisywano ją jako „niezastąpioną”, „genialną”, „nieprzewidywalną”. Miała dar zjednywania sobie ludzi — w jednej chwili potrafiła roześmiać się beztrosko, w drugiej spojrzeć z chłodną determinacją, jak ktoś, kto zna już cenę śmierci.

Była też mistrzynią kamuflażu. W razie potrzeby zmieniała akcent, sposób chodzenia, kolor włosów. Raz grała francuską hrabinę, innym razem biedną uchodźczynię. Potrafiła przeniknąć do środowisk wroga z niebywałą łatwością. Jej przełożony, płk

Colin Gubbins, mówił, że „nigdy wcześniej nie widział kogoś, kto z taką gracją potrafił igrać z losem”.

Za swoją działalność została odznaczona **Orderem Imperium Brytyjskiego (OBE)** i **George Medal** – jednymi z najwyższych brytyjskich odznaczeń cywilnych. Dla Francuzów była bohaterką, dla Polaków – legendą. Dla samej siebie – po prostu kobietą, która spełniła obowiązek wobec ojczyzny.

Po wojnie – samotność bohaterki

Kiedy przyszło zwycięstwo, dla takich jak ona nie było już miejsca. Krystyna była zbyt odważna, by wtopić się w powojenny Londyn i zbyt dumna, by prosić o pomoc. Pracowała jako stewardessa, sprzątaczka, recepcjonistka – kobieta o arystokratycznym rodowodzie, która uratowała ludzi, teraz musiała walczyć o przetrwanie.

W hotelu Shelbourne przy Lexham Gardens w Londynie, w dusznym pokoju z widokiem na ceglane podwórko, zatrzymał się czas. To tam, 15 czerwca 1952 roku, została zamordowana przez zakochanego w niej mężczyznę.

Zginęła, jak żyła – piękna, niezależna, nieujarzmiona. Na jej pogrzebie na cmentarzu St Mary’s w Kensal Green obecnych było zaledwie kilka osób.

Inspiracja dla postaci Jamesa Bonda

Jej niezwykła osobowość – elegancja, magnetyzm i nieustraszoność – stała się inspiracją dla pisarza **Iana Fleminga**, który w czasie wojny pracował w brytyjskim wywiadzie. Fleming znał Krystynę osobiście i był pod ogromnym wrażeniem jej uroku oraz brawury. Wielu biografów uważa, że to właśnie Krystyna Skarbek była jednym z pierwowzorów Jamesa Bonda, a jej postać i przygody zainspirowały także kobiece bohaterki jego powieści.

Dziedzictwo rodu i pamięć

Ród Skarbków zniknął z mapy polskiej arystokracji – ich dwory i ich ziemie są dziś tylko nazwami na pożółkłych planach. Ale pamięć o Krystynie przetrwała. W Londynie na ścianie budynku, w którym zginęła, błękitna tablica głosi: **Christine Granville – Krystyna Skarbek (1908–1952), Agent of the Special Operations Executive.**



Niebieska tablica pamiątkowa wzniesiona w 2020 roku przez English Heritage pod adresem 1 Lexham Gardens, Kensington, Londyn, W8 5JL, Royal Borough of Kensington and Chelsea, źródło: Wikimedia Commons

Oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka

20. Festiwal Polskich Filmów w Austin, Teksas

W ramach 20. Festiwalu Polskich Filmów w Austin, będzie można zobaczyć film „Skarbek” inspirowany historią Krystyny Skarbek, w reż. Jamesa Marquanda. Gościem Festiwalu będzie odtwórczyni głównej roli Morgane Polanski, córka Romana Polanskiego. Zapraszamy!

https://www.austinpolishfilm.com/

Przegrani zwycięzcy

Krzysztof Kasprzyk *(Kanada)*

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba

Podnoszą z ziemi przez uszanowanie

Dla darów Nieba….

Tęskno mi, Panie…

C.K. Norwid „Moja piosnka”



Od momentu wyjazdu z Polski, co pewien czas zastanawiałem się nad znaczeniem tych słów. Dla mnie, dla moich rodziców, dla dziadków, którzy żyli jeszcze pod zaborami. I dla Norwida, dla tamtego pokolenia pierwszej Wielkiej Emigracji.

Zastanawiałem się także nad zabiegiem naginania i dostosowywania takich słów do określonego, historycznego kontekstu. Przede wszystkim za niosącymi się w nich emocjami, myślami, tęsknotami. Rozważaniami o patriotyzmie, obowiązku, powinności. Wiem dziś z całym przekonaniem, że w stosunku do moich rodziców czy dziadków, wiele tych emocji dla mnie wyblakło, zmieniło sens i znaczenie.

Po roku 1981 byłem emigrantem. Po roku 1989 mam wewnętrzny sprzeciw wobec tego określenia. Wolę osiedleniec – osiedliłem się w Kanadzie, gdzie żyję już dłużej niż w Polsce.

Nigdy nie byłem rozdarty pomiędzy Polską a Kanadą, a od kiedy zacząłem siedem lat temu przemieszkiwać w argentyńskiej Patagonii, poczułem się obywatelem świata. Osadzonym w polskim języku, polskiej kulturze, tradycji i rodzinnych więzach. W zasadzie nie opuściłem Polski ani jednego dnia, co jeszcze wzmocnione jest mymi corocznymi przyjazdami od 25 lat i pisaniem w polskim języku.

Poczułem, iż mój zasób wolności się powiększył, owo nieskrępowane bycie w tym świecie. Nie tylko Polska stała się otwarta. Także Europa i świat. Mimo wszelakich konfliktów i łajdactw, wojen i innych zbrodni. Wiem, że nie jestem bezmyślnym patriotą, pławiącym się w tak ulubionej przez wielu Polaków obrzędowości i działaniach na pokaz. Tutaj można by powrócić do wiersza Norwida i zacytować jeszcze jedną zwrotkę:

Do bez-tęsknoty i do bez-myślenia,

Do tych, co mają ***tak*** *za* ***tak – nie*** *za* ***nie****,*

Bez światło-cienia…

Tęskno mi, Panie…

Szkoda, że nie mogę o tym porozmawiać z moimi rodzicami, szczególnie z ojcem, w kolejną rocznicę D-Day, w którym brał

udział. Ląduje w Normandii 17 lipca 1944 roku, jako dowódca inwazyjnej jednostki przydzielonej do angielskiej armii – 411 R&SU (*Repair and Salvage Unit* – Jednostka Naprawy i Ratownictwa).



Franciszek Kasprzyk, lotnictwo w Anglii, 1941 r., fot. arch. autora

Kiedy pasjonowałem się rzeźbieniem pomnika Nieujarzmionego Konia (*Crazy Horse,* a powinno być *Untamed Horse*) w Południowej Dakocie, przez rodzinę Korczaka Ziółkowskiego, odkryłem, że Korczak brał udział w inwazji, jako ochotnik, na plaży Omaha. Mój ojciec obok, na brytyjskiej plaży Gold. Następny, sąsiedzki odcinek to byli Kanadyjczycy na Juno. I jak tu nie wierzyć w przypadki i szczególne znaki (zbieg

okoliczności), które tak często przewijają się w moim życiu.

W 1973 roku w Londynie, w przejmująco pustym klubie Polskiego Lotnika, spotkałem jakiegoś starszego pana, który okazał się uczestnikiem II wojny i oficerem łącznikowym przy polskich dywizjonach. Po krótkiej rozmowie i poinformowaniu go, że mój ojciec był w 308 dywizjonie, ów pan zaprosił mnie na drinka i kontynuowaliśmy niemal godzinną pogawędkę po polsku. Okazał się Kanadyjczykiem. W pewnej chwili nagle powiedział: „Niech pan jedzie ze mną do Montrealu. Wszystko panu załatwię bez żadnych problemów”. Propozycja kompletnie zbiła mnie z tropu, tym bardziej, że wtedy grzęzłem w skomplikowanej sprawie osobistej i koniecznie chciałem do Polski powrócić. Podziękowałem i odmówiłem. Ten pan okazał się słynnym Elginem Scott’em [**https://www.polishairforce.pl/scott.html**].



Pamiątkowe zdjęcie polskiej jednostki RSU. Ojciec na środku, czwarty od lewej, w pierwszym rzędzie, fot. arch. rodzinne
Niespodziewanie powrócił do mnie, gdy w roku 1979 pracowałem w piśmie „Technika i Gospodarka Morska". Redakcja mieściła się w nieistniejącym obecnie Wydawnictwie Morskim w Gdańsku. Któregoś dnia, na dnie szuflady mego biurka sekretarza redakcji, znalazłem w maszynopisie, odrzucone przez cenzurę i niewydane, pamiętniki byłego ministra żeglugi i gospodarki wodnej (w latach 1957- 1964), Stanisława Darskiego. Tam opisał historię rodziny Scott'ów, których przodek osiadł w Polsce, w końcu wieku XIX. [**https://pl.wikipedia.org/wiki/Elgin_Scott**] Do dziś żałuje, że tego pamiętnika stamtąd nie zabrałem.

Mimo tego, że od 1984 mieszkałem w Kanadzie i trzykrotnie przejechałem przez Montreal, zapomniałem o istnieniu Scott'a. Ujrzałem go przypadkowo w kanadyjskiej telewizji CBC, gdy z okazji 50 rocznicy zakończenia II wojny, udzielał wywiadu. Opowiadał o polskich pilotach, o ich odwadze i fantazji. Zmarł w roku 2011 w miasteczku Rowdon koło Montrealu.

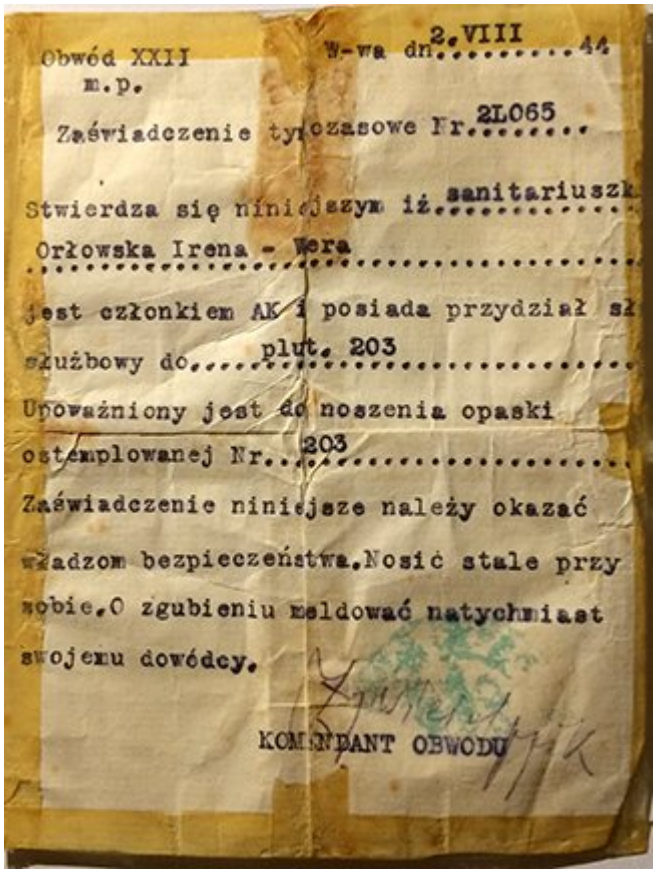
*

W zeszłym roku, drugi raz w życiu, porządkowałem rzeczy po śmierci bliskiej osoby z rodziny. Pierwszą, wiele lat temu, była babcia, matka mojej mamy. Ocaliła i przechowała niezwykłe

dokumenty, m.in. drukowany na maszynie rozkaz dla mamy, jako sanitariuszki Powstania, z 2 sierpnia 1944, podpisany przez płk. Żywiciela (Mieczysława Niedzielskiego) oraz jej listy z obozu Oberlangen.



Mama (Irena Orłowska) na tarasie przy ul. Krasińskiego w Warszawie z Bobikiem, 1938 lub 1939 r,



Obwód XXII m.p.

W-wa dn. 2.VIII 44

Zaświadczenie tymczasowe Nr. 2L065

Stwierdza się niniejszym iż sanitariuszka

Orłowska Irena - Wera

jest członkiem AK i posiada przydział służbowy do plut. 203

Upoważniony jest do noszenia opaski ostemplowanej Nr. 203

Zaświadczenie niniejsze należy okazać władzom bezpieczeństwa. Nosić stale przy sobie. O zgubieniu meldować natychmiast swojemu dowódcy.

KOMENDANT OBWODU

Dokument powstańczy mojej mamy

*

Teraz porządkowanie rzeczy po macosze, przebiegało spokojniej. Z mniejszym stresem, a nawet z pewną ekscytacją, bowiem ona starannie przechowała rodzinne pamiątki. Znalazłem tyle dokumentów i zdjęć po mamie i ojcu, że poczułem, iż wreszcie mogę dopełnić ich życie i ocalić przed zapomnieniem. Odkryłem cały szlak bojowy ojca – od opuszczenia Polski w 1939 roku do powrotu w maju 1947 – uzupełniony licznymi szczegółami, odnalezionymi po wielu godzinach buszowania na Internecie.

Trzy lata temu, zająłem się gromadzeniem pamiątek po mamie i

przekazałem je do Muzeum Powstania Warszawskiego. W trakcie żmudnych poszukiwań, odnalazłem dokładną datę i przebieg wyzwolenia jej obozu Oberlangen, gdzie zaczyna się historia rodziców i… moja.



10 październik, 1945 (w rok później będę już na świecie). Na rewersie ozdobna dedykacja – „Swojej małpce Piesek”. Hmmm.. małpka małą literą, a piesek z dużej. Ach, ta jego niezgrabność i szorstkość, z którą potem mogłem często się stykać. Z całych sił bronił się przed wzruszeniami, które poczytywał za słabość. Ja

jestem z tych nieprzytulonych przez ojca, lecz za to umiarkowanie i rozsądnie przez matkę, fot. arch. rodzinne
Usiłuję wyobrazić sobie ten moment, gdy po raz pierwszy skrzyżowały się ich spojrzenia. Jest rok 1945, 13 kwietnia, dzień po wyzwoleniu obozu. Mama, Irena, akurat wyszła z lazaretu obozowego, zgaszona i nieco wynędzniała po traumatycznych przeżyciach w Powstaniu i na skutek warunków w stalagu. Ma 22 lata. Ojciec, Franciszek, sierżant z 308 dywizjonu Krakowskiego. W kwietniu 1945 przekracza granicę Niderlandii i Niemiec natykając się na żołnierzy z dywizji gen. Maczka. Ktoś informuje go, że wczoraj wyzwolili obóz polskich kobiet z Powstania Warszawskiego.

Wskakuje do jeepa i jedzie do obozu. Przystojny chłopak w wojskowym mundurze. Zdziwiłem się i zarazem roześmiałem, gdy znalazłem sporo zdjęć dziewczyn, angielskich i innych, z dedykacjami dla niego. Miał powodzenie. Na wojnie znalazł się w wieku 18 lat. Paradoksalnie, w tak młodym wieku, świat nie tylko całkowicie stanął na głowie, ale się przed nim otworzył. Jest po równie traumatycznych przeżyciach – od początku wojny żadnych wieści o rodzinie, utrata bardzo wielu kolegów i przyjaciół z lotnictwa. Ma 24 lata.



Zgodnie z prawami młodości ojciec także „wojował” na randkach z Angielkami (tzw. Wafkami ; WAAF – The Women’s Auxiliary Air Force – Żeńska Służba Pomocnicza przy RAF). Piknik w roku 1942. Jedna panna spoczywa mu malowniczo na podołku, a inna z wyraźną troską go obejmuje. A on ma minę, tak dobrze znaną mamie i mnie, nieco nachmurzoną, pod tytułem ”no dobra, może być…”, fot. arch. rodzinne

Ten moment… Gdzie się na siebie natknęli? Na obozowym placu czy przed barakiem? Czy ojciec akurat wysiadał z jeepa, czy też już zmierzał na piechotę? Kiedyś ojciec wspomniał, że było późne popołudnie. Lecz dokładnie kiedy i jak wpadli sobie w oko? O czym rozmawiali? Co w sobie wzajemnie zobaczyli? Musiał to być niezły błysk, skoro w trzy dni później, ojciec zabiera mamę z obozu załatwiając jej przydział do swojej jednostki, włącznie z umundurowaniem. W październiku biorą ślub w wojskowej

kaplicy, w niemieckim miasteczku Quakenbrück i tam zmieszkują. Ojciec był vice komendantem miasteczka z ramienia brytyjskiej armii okupacyjnej. I tam się urodziłem, we wrześniu 1946 roku.



Ślub rodziców, Quackenbrück, 27 października 1946 r. W rodzinnych dokumentach znalazłem pozwolenie na ślub od dowódcy ojca (sic!), laurkę dla młodej pary od 411 RSU, nazwisko wojskowego kapelana ks. Kończewskiego, który udzielał ślubu. Kiedyś ojciec aż podskoczył, bo w czasie wyławiania w latach 60., spomiędzy szumów i buczenia, słów z Radia Wolnej Europy, nagle odezwał się stamtąd ów kapelan, fot.

arch rodzinne.
*

Lecz o tym dowiedziałem się w roku 1997, w Toronto, gdy ojciec już nie żył. Nie był skory do zwierzeń. Pamiętam go z okresu lat 50. i 60., raczej ponurego, zamkniętego w sobie pracoholika i człowieka nadużywającego alkoholu. Kiedy coś mi nagle oznajmiał, było to z reguły spóźnione o lat parędziesiąt – adres mojej matki chrzestnej mieszkającej w USA lub kilkanaście – dokument brytyjski, który mnie upoważniał do otrzymania obywatelstwa Wlk. Brytanii, do szesnastego roku życia. Wręczył mi go, niemal uroczyście, gdy miałem lat 19. Marzyłem o wyrwaniu się z komuny. Coś się zamknęło, nim zdołało się otworzyć.

We wspomnianym roku 1997, w dwa lata po śmierci ojca, zabrałem mego małego syna, Lukasa, który dziadka znał tylko ze zdjęć i mych opowieści, na spotkanie polskich lotników w Toronto, żeby chociaż miał jakieś wyobrażenie o postaci dziadka i o tym – jak o nich się mówi – „stalowym pokoleniu”. Kiedy siedzieliśmy z kilkoma byłymi pilotami przy stole, Luka pochylił się ku mnie i zapytał szeptem „Tato, ile oni mają lat?”. Wtedy głośno, wszystkim przy naszym stole, powiedziałem o co mnie zapytał i poprosiłem, aby mu wyznali swój wiek. I się zaczęło… 82, 81, 86, 85, i jeden młodzian – 79.

Podczas spotkania dowiedziałem się od kolegi ojca; natychmiast, gdy się przedstawiłem, rzekł: „Ach syn Franka, dobrze go pamiętam”, o jego okupacyjnym stanowisku. Patrząc na ludzi przy stole, potem nie raz spotykając w Toronto innych polskich pilotów lub członków załóg bombowych, wyraźnie widziałem różnicę w wyglądzie mego ojca a tych ludzi, żyjących od lat w Kanadzie. Wszystko jest wypisane w postawie ciała, w stylu bycia, przede wszystkim w wyrazie twarzy. Tam się odbija spełnienie, poczucie wolności i satysfakcji z życiowych osiągnięć. Świadomość szacunku otoczenia, uznania dla wojennych zasług, W miarę spokojne życie wśród na ogół życzliwych i miłych ludzi. Takich, do których wychodzi się na przeciw bez wahania, z automatycznym kredytem zaufania. Takich, z którymi można się wspólnie bawić, nie rozstając się z okresowym używaniem alkoholu. Lecz wiedząc, że my nim rządzimy, a nie on nami, stając się złudnym lekarstwem „na problemy” i „przeklęte życie”.

Ojciec był na twarzy zniszczony, przedwcześnie postarzały, często zgaszony. I niemal zawsze było w nim jakieś napięcie. Jego brak pierwszy raz odkryłem w szpitalnej kostnicy, w Gdyni, gdy poprosiłem, aby nas zostawiono na chwilę samych. Uderzyło mnie to tym bardziej, że obok leżała kobieta, która miała niesamowity wyraz przerażenia na twarzy. Jakby zaciekle i z rozpaczą broniła się przed odejściem. Twarz ojca była całkowicie pogodna, uszło z niego owo długotrwałe napięcie. Może dlatego nie wstrząsnęło mną aż tak bardzo, kamienne zmrożenie jego

ręki, gdy ją dotknąłem.



Lotnisko Northolt, grudzień 1942. Ojciec czwarty od lewej, fot. arch. rodzinne

Relacje mieliśmy bardzo trudne i trudne. Kiedy po 13 latach mogłem wreszcie przyjechać bez obaw do Polski, spotkałem się z nim po raz pierwszy od 15 lat. Cieniem na naszych stosunkach leżał jego alkoholizm, z którym starannie krył się przed rodziną matki. Zresztą tak samo postępowała ona i ja, bo nam po prostu było wstyd. Czasami zdarzały mu się wpadki, lecz w tym kraju, który jak nie w sporej części pijany, to na rauszu lub na kacu,

powszechną tendencją było skrywanie lub wypieranie problemu. Z kolei na swoją rodzinę znalazł inny sposób – niemal w ogóle się z nią nie kontaktował. Okazją do spotkań były najczęściej pogrzeby jego licznego, starszego rodzeństwa – trzy siostry i trzech braci.

Alkohol zmieniał jego osobowość, pogłębiał pewną słabość charakteru, bo w innych przypadkach potrafił być niesłychanie twardy i stanowczy. Był pracowity, zasadniczy, co przechodziło nie raz w nieznośny pedantyzm. Był skrajnie uczciwy i często bezradny wobec rzeczywistości PRL-u. Mało wiedziałem o jego przeszłości, przede wszystkim przedwojennej i wojennej. Jak pamiętam, bardziej zbierało mu się na zwierzenia po wódce, lecz wtedy często był pełen agresji i pretensji, czasami zarzucając mi „Co ty wiesz o życiu, szczeniaku? Prawie wszyscy moi koledzy zginęli!”.

Jednocześnie, w miarę upływu lat znaczonych nadużywaniem alkoholu, który nie tylko nadszarpywał jego zdrowie, ale pustoszył umysł, w tych pijanych porywach, opowiadał niekiedy o wojennych wyczynach, swoich lub innych osób z naszej rodziny, które potem okazywały się połowicznie prawdziwe lub całkowicie zmyślone. Te korekty dotarły do mnie w ostatnich latach, na rodzinnych spotkaniach, głównie osób z jego rodziny. Jednakże w stosunku do wielu innych dorosłych, których poznałem w czasach licealnych i na studiach, był w swych podpompowanych

opowieściach raczej umiarkowany.

I zapewne to nie tylko polska cecha, tak genialnie uchwycona w piosence Młynarskiego „W Polskę idziemy”, której ojciec oczywiście nie znosił. Bo na przykład w książce Annie Ernaux „Lata” znalazłem taki passus: „W ustach pięćdziesięciolatków i osób starszych wspomnienie wojny sprowadzało się do osobistych anegdot, pełnych czczych przechwałek, które ludziom przed trzydziestką wydawały się ględzeniem”.

Obie rodziny – mamy i ojca – z licznymi dalszymi powiązaniami, miały niezwykłe szczęście w okresie wojny. Poza rodzicami, parenaście innych osób było czynnie zaangażowanych w ruch oporu i działania wojenne. Wszyscy wojnę przeżyli, co było głównym powodem decyzji rodziców o powrocie do Polski. Dopiero, gdy byłem na pierwszym roku studiów, w tajemnicy dowiedziałem się, że zginęła tylko jedna osoba – drugi mąż siostry mego dziadka, dr. Karol Potrzobowski. Ale w jakże tragicznym miejscu. W Katyniu.



Mama w czerwcu 1945, w wymarzonym Paryżu. Po powrocie do Polski świat dla niej, jak i dla ojca, się zamknął, fot. arch. rodzinne

*

Miałbym ochotę napisać teraz obszerny list do ojca. Napisałem przedtem dwa takie listy (reszta to były kartki ze świątecznymi życzeniami, szczególnie po wyjeździe z Polski): pierwszy w czerwcu 1984 roku, w trzy miesiące po przyjeździe do Kanady, kiedy oglądałem w lokalnej telewizji obchody uroczystości 40

rocznicy lądowania w Normandii. Zauważyłem tam polskich kombatantów, w tym z Kanady i nagle poczułem gorycz, może podobną do tej jaką czuł ojciec, stojąc na chodniku w Londynie i z zaciśniętymi szczękami oglądając paradę zwycięstwa, bez udziału polskich żołnierzy.

Kiedy pierwszy raz mi o tym powiedział, smutny i podenerwowany, był rok 1956, gdy rodzice zaczęli w miarę otwarcie opowiadać o wojennych przeżyciach. W miarę, bo czuli, że odwilż jest pozorna, krótkim epizodem tak sterowanym, aby władza się nie wymknęła i została nienaruszona. Już nie mieli złudzeń. Dla mnie opowieść o tym jak nas potraktowali w paradzie zwycięstwa, była pierwszą rysą w mitycznym monolicie Zachodu, oglądanym z daleka, wyławianym spomiędzy zagłuszeń w Radio Londyn i RWE i w podsłuchiwanych rozmowach dorosłych, którzy „tam byli, kiedyś tam pojechali".

W 1984 roku ojciec był jedynym, żyjącym jeszcze uczestnikiem D-Day na Wybrzeżu, i jednym z nielicznych w Polsce. Od dziesięcioleci odmawiał udziału w zniewoleniu Polski, choć jak większość z nas w okresie PRL, wplątany był w różne układy. W jego przypadku, głównie poprzez współbiesiadowanie, obficie podlewane alkoholem w licznych knajpach w Trójmieście z różnymi, aczkolwiek pomniejszymi przedstawicielami władzy. Jednakże dalej wpływowymi. Latem 1968 roku, gdy korespondowałem z przyjaciółką wygnaną do Izraela przez

ludowe państwo i antysemickie drańskwa, ostrzeżono go żeby mnie przekonał do zerwania korespondencji, bo już mi się przyglądają. Kiedy odmówiono mi w 1973 roku paszportu, przez kogoś załatwił, że po miesiącu paszport wydano.

Ale nikt nie zamierzał go zaprosić, tak jak jakichkolwiek przedstawicieli PRL, na obchody do Normandii, bo ledwie rok przedtem odwołano stan wojenny, „Solidarność" była zdelegalizowana, a solidarność ludzka nieustannie erodowana i tłumiona. Rozżalony za niego, z buzującym we mnie uczuciem wściekłości, napisałem ów obszerny list, podkreślając, że przez cały okres, po powrocie do Polski, traktowano go jak zdrajcę, a w najlepszym przypadku jako faceta obciążonego życiową pomyłką, bo znalazł się w czasie wojny na Zachodzie.



Wizyta gen. W. Sikorskiego, 1942 lub 1943 r. Tam było jeszcze jedno zdjęcie, które zobaczyłem w wieku kilkunastu lat. Nie wiem, gdzie owo zdjęcie się zapodziało i nie pamiętam nazwiska dekorowanego bohatera, krzyżem Virtuti Militari, przez gen. Sikorskiego. Ów młody człowiek miał pusty, lewy rękaw przyczepiony do munduru – stracił rękę po powietrznym pojedynku. Największym szokiem dla mnie nie była jego młodość, bo wtedy jeszcze tego nie rozumiałem, ale jego uśmiech – smutno-szczęśliwy i wręcz zawadiacki pod czarnym wąsem. To najbardziej mną wstrząsnęło, że można się uśmiechać z takim

okaleczeniem, fot. arch. rodzinne
Porządkując w zeszłym roku dokumenty po nim, znalazłem dwie legitymacje i medale, którymi wojskowa junta Jaruzelskiego obdarzała wiekowych kombatantów, próbując ich tym sposobem zjednać, co było dla mnie równoznaczne z ochłapem rzuconym po latach. O ironio! w miesiąc po uroczystościach 40-lecia D-Day, dano ojcu „Medal za udział w wojnie obronnej 1939”; potem w kwietniu 1985 „Medal Zwycięstwa i Wolności”, co odczułem jako nieprawdopodobną kpinę z niego. Dopiero, wręczony mu w czerwcu 1990 roku, „Krzyż czynu bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie” uznałem za satysfakcjonujący.

To, że owe „jaruzelskie” odznaczenia przyjął, było dla mnie tak szokujące, jak zdarzenie z roku 1977, gdy przyszedłem do niego po poradę. Zostałem mianowany prezesem Klubu Studentów Wybrzeża „Żak” i po miesiącu młodzi towarzysze zaczęli naciskać na mnie bym wstąpił do PZPR, no bo jakże – na kierowniczym stanowisku i bezpartyjny. Moi współpracownicy uważali, że powinienem zapisać się (dla wielu była spora różnica między wstąpieniem a zapisaniem, zapisanie miało formę łagodniejszą, wręcz usprawiedliwiało). Obawiali się, że mnie wtedy ze stanowiska odsuną i wszystkie nasze ambitne plany, włącznie ze zlikwidowaniem rozległej korupcji w klubie i Zarządzie SZSP, wezmą w łeb. Ostatecznie udałem się po poradę do zasłużonego antykomunisty – mego ojca, tym bardziej, że wspólnie z matką w takim duchu mnie wychowali.

Akurat trafiłem na jego moment nieco zbolały, bo męczył go poranny kac. Pytałem, co mam uczynić i odrzekł „Wiesz, zapisz się, bo nie dasz rady zrobić tego co chcesz. Ja przegrałem życie, a nie chciałbym, abyś ty zmarnował swoje". Byłem w szoku. Wypaliliśmy kolejnego papierosa niemal milcząc. Pożegnałem go i z tymi słowami, dziobiącymi wprost mój mózg „przegrałem swoje życie", wyszedłem z naszego rodzinnego mieszkania. Idąc wzdłuż ściany domu tłukłem się z myślami. Jak to – przegrał i skłania mnie do tego samego? Bo przecież przystąpienie do tych skorumpowanych drani, to sprzeniewierzenie się wszystkim poprzednim latom. Wszystkim odczuciom i pragnieniom. Buntom i anarchicznym odruchom. Zdradą wielu przyjaciół i kolegów. I kiedy doszedłem do ulicy, nagle stanąłem i powiedziałem na cały głos „A taki wał". I zostałem pierwszym, bezpartyjnym prezesem „Żaka" w jego dziejach. Utrącili mnie po dziewięciu miesiącach.

Drugi list był natomiast wypełniony moją opanowaną i zimną złością, na bite dziesięć stron, na których podsumowałem nasze relacje i przede wszystkim co przeszła z nim matka. Powodem był jego krytyczny i krótki list, z racji kolejnego rozpadu mego związku, wraz ze stwierdzeniem, że „w naszej rodzinie nie było i nie ma rozwodów". Zapomniał lub nie chciał pamiętać, że mama podała go do sądu o rozwód. W parę miesiecy po pierwszej rozprawie zachorowała na raka, on wtedy wrócił i się nią opiekował aż do jej śmierci. Ten jego odruch złożył się na moje przebaczenie, lecz po napisaniu „Kochany Tato!", zaraz dodałem,

że go nie lubiłem. Napisałem również, że wiele przez niego wycierpiałem i to mu też przebaczam. I że jak nie było rozwodów w naszej rodzinie, ktoś musi wreszcie zacząć, by nie kontynuować życia w stresującym uwikłaniu i bezmyślnie się poświęcać. Czasem, z zewnątrz można dokonać więcej dobrego, niż tkwiąc w toksycznym związku.



Ojciec w swojej jednostce inwazyjnej w głębi Francji. Stoi u góry, po prawej. Ma na sobie kurtkę *battle dress*, której kolor, strukturę i zapach jeszcze pamiętam. Wisiała w wielkiej, sopockiej szafie latami i po cichu ją oglądałem, a nawet przymierzałem przed lustrem. Była też kamizelka skórzana, bez rękawów, którą piloci zakładali jako ocieplacz pod mundur. Gdy kończyłem pierwsze studia, krawiec dorobił do niej ciemnozielone rękawy i paradowałem cały dumny w tej kurtce,

którą wiele osób podziwiało. *Battle dress* zżarły mole, skórę pożyczyłem kumplowi z Lublina, w 1973 roku, na jego dojazd do domu i więcej jej nie widziałem. Tym bardziej, że Wojtek Ł., w parę miesięcy później, popełnił samobójstwo. Nieszczęśliwa miłość plus alkohol…, fot. arch. rodzinne
*

W parę lat później, gdy się pierwszy raz od lat spotkaliśmy w naszym sopockim mieszkaniu, w ostatnim dniu przed wyjazdem do Warszawy i powrotnym lotem do Toronto, kiedy się pakowałem, nagle rzekł: „Wiesz, w tamtym liście, który napisałeś, nie wszystko było tak jak podałeś". Spojrzałem na niego i łagodnym głosem zapytałem „Tato, czy warto teraz do tego wracać?" I wtedy po raz pierwszy i ostatni w mym życiu, bo w rok później już nie żył, usłyszałem: „Masz rację!".

Rozegrała się wtedy jeszcze jedna, bardzo ważna dla mnie scena. Zapytał „Gdy mieszkałeś w Berlinie, miałeś niemieckich przyjaciół, kolegów?". Na chwilę zaniemówiłem, bo od razu skojarzyłem sobie, że przecież walczył z Niemcami, że zginęło tak wielu jego kolegów i tyle przez wojnę wycierpiał. Dla mnie, człowieka z pokolenia powojennego, w dodatku niemal pacyfisty, o co się także z ojcem przedtem ścierałem, zarzucając mu, że ma nawyki z wojska, Niemiec był po prostu człowiekiem. Tym bardziej, ten z mego pokolenia lub młodszy. Wiedziałem i pamiętałem, lecz czułem, że jest czas budowania pomostów, tym

bardziej, że po wprowadzeniu stanu wojennego, Niemcy tak znacznie Polakom pomagali – w Berlinie i w Polsce. Postanowiłem mu powiedzieć prawdę – „Tak, miałem sporo kolegów i jednego przyjaciela". A on rzekł: „To bardzo dobrze".

*

W bardzo interesującej książce brytyjskich naukowców o płci mózgu, odkryłem, że mam kobiecy mózg i dowiedziałem się, że pokolenia powojenne, z roczników 40-tych, mają w sobie, jakby genetycznie, antywojenne echo po traumatycznych przeżyciach rodziców. Kiedy nadeszła fascynacja muzyką rockową, której ku memu zdziwieniu i radości zarazem, ojciec nie potępiał (tak jak moich długich włosów) i nawet znosił wysłuchiwanie w nocy listy przebojów Radia Luksemburg, te pacyfistyczne nastroje uległy we mnie wzmocnieniu, kumulując się w okresie wojny w Wietnamie. I nieważne teraz, na ile wtedy byłem młody i naiwny, pełen dobrych chęci, zarazem z rodzącym się buntem i wyrywaniem ku konkretnemu działaniu PRZECIW. W każdym przejawie – od prób bycia za wszelką cenę przyzwoitym, poprzez demonstracyjne chodzenie co niedziela do kościoła, do nieśmiałego jeszcze poparcia marca 68, przypadkowego uczestnictwa w grudniu 70 i skumulowanego, otwartego buntu w sierpniu 80, gdy znalazłem się w Stoczni.

Byłem niemal całkowicie przekonany do słów angielskiego

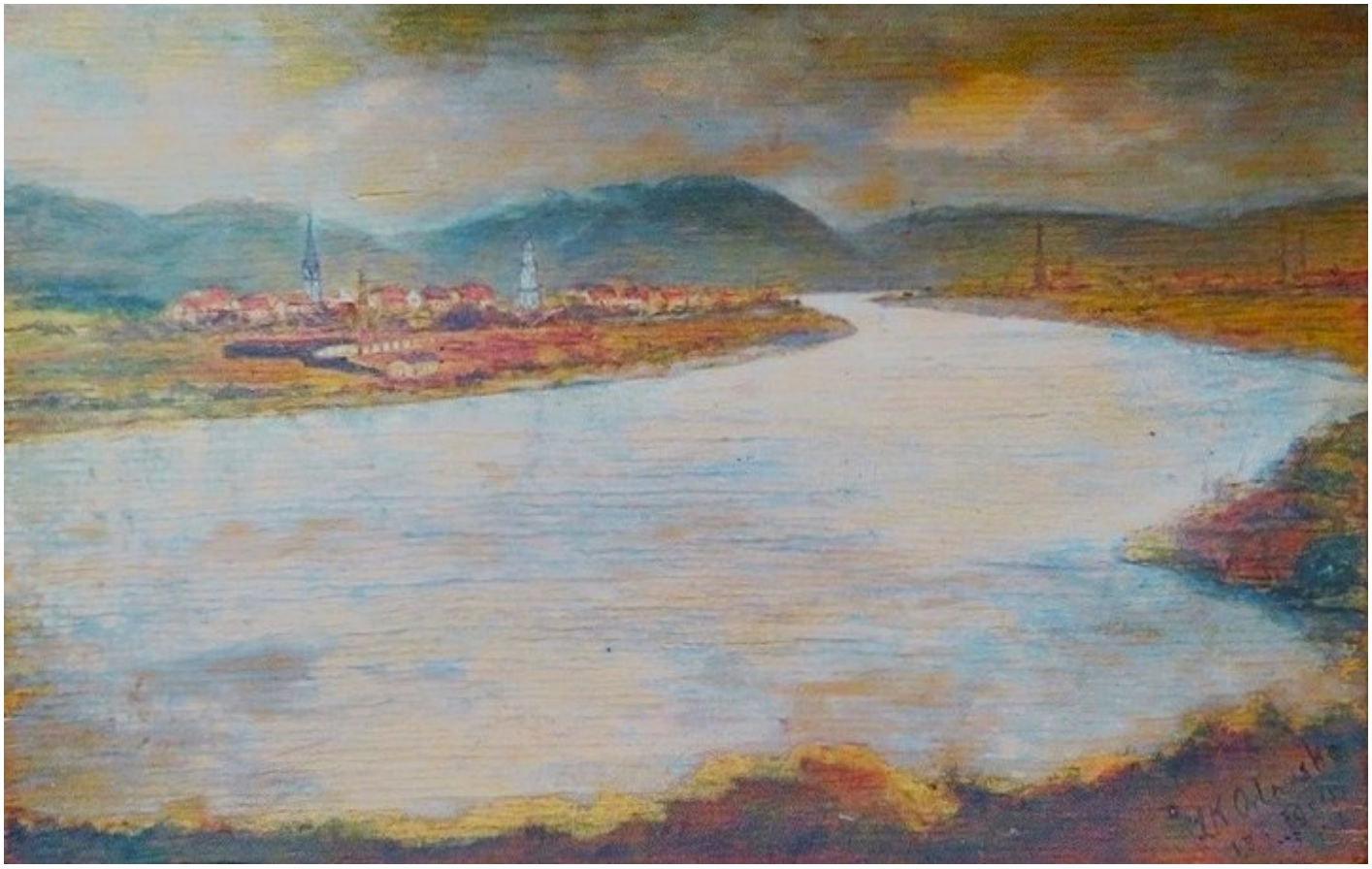
piosenkarza Donovan'a: „Wierzę w to, że jesteśmy pokoleniem błogosławionym". Odczytywałem owe słowa jako sprzeciw wobec wojny i przemocy, włącznie z tym co się działo w PRL-u. Z każdym upływającym rokiem, mieszkając w Polsce, potem w Berlinie Zachodnim i w Kanadzie, dodatkowo przemieszkując w ostatnich latach w Argentynie, tkwiło we mnie do niedawna owo przekonanie o błogosławieństwie pokoleniowym, bo poza wojną na Bałkanach, traktowaną jako epizodyczny wybryk, „nasz świat" wydawał się spokojny i dążący ku porozumieniu.

Pierwsze zachwianie/zwątpienie wprowadził we mnie, w roku 1992, uwielbiany Leonard Cohen, przejmującym, doskonałym albumem „*The Future*". Byłem wstrząśnięty jego wizją, poruszony i wręcz zirytowany, że wokół tak wszystko dobrze się toczy, a tu Leonard śpiewa: „ Zwróć mi Mur Berliński, zwróć Stalina i św. Pawła, widzę, Bracie, że przyszłość jest mordercą". I często powtarzane w refrenie, w sensie wręcz teologicznym, słowo – *repent* („żałuj za grzechy")

W siedem lat później, leningradzki żul, Putin, przechwycił władzę, a trzy lata temu rozpętał krwawą wojnę na Ukrainie, niszcząc moje marzenie, że odejdę z tego świata bez wojny. Że jednak będę tym błogosławionym pokoleniem, optującym za Unią Europejską i światową współpracą. Tymczasem w ostatnim dziesięcioleciu wykwitły całe zastępy przygłupich drani o gangsterskiej mentalności. Zakwitli na zagonach demokracji!

Spragnieni nieograniczonej władzy, bezczelnie zakłamani manipulatorzy, w wielu miejscach przy poparciu religijnych fanatyków. To po to mój ojciec walczył przez sześć lat z nazizmem i faszyzmem, aby teraz powstawały karykaturalne odrosty? Po to brał udział w inwazji 81 lat temu, byśmy zastanawiali się teraz nad jej sensem? Po to poległy miliony ludzi w walce o wolność i demokrację, by kolejny raz powracać do punktu wyjścia? Czuję się tak, jakby mi odebrano coś nader cennego. Szyderczo spostponowano!

Chichot historii? Czy chichot pewnego rodzaju ludzi, którzy nie są w pełni ludźmi?



Panorama Quakenbrück namalowana przez mamę, nie wiem dokładnie, kiedy, bo data w dolnym, prawym rogu zamazana. Malowanie eliminowało stresy, których jej życie nie poskąpiło, fot. arch. rodzinne
*

Gdybym miał napisać kolejny list do ojca, napisałbym tak:

Kochany Tato!

Za parę dni będzie 81. rocznica decydującej inwazji na kontynent, w której brałeś udział. Wraz z mamą, wydawaliście mi się w sporej mierze nierealnymi postaciami z czasów Wielkiej Wojny. Przez wiele lat nie mogłem pojąć i odczuć co naprawdę przeżyliście, tym bardziej, że szczególnie Ty nie byłeś skłonny do zwierzeń. Dopiero upływ lat, odmienianych moimi doświadczeniami i przekraczaniem kolejnych progów dojrzałości, coraz bardziej odsłaniał Wasze postacie. Coraz więcej rozumiałem i znajdywałem węzłowe odniesienia, włącznie z wytłumaczeniami, a nawet usprawiedliwieniami, przebiegu Waszego życia. W tym także czasami powodów Twego picia.

Bo przede wszystkim oboje byliście przegranymi zwycięzcami tej wojny, już w momencie podjęcia decyzji powrotu do Polski, gdzie zasiedlił się komunizm, w sowieckim wydaniu. Być przegranym lub wygranym niesie klarowną sytuację, z którą można się nawet

pogodzić. Być przegranym zwycięzcą przynosi gorycz i poniżenie, których przez wiele lat w PRL doświadczaliście. Tym bardziej, że mieliście oboje moralne zasady. Choć byliście zarazem pozbawieni sztywności owych zasad, sztywności wpędzających ludzi w ekstremalne zachowania i oceny. To jakim jestem, co od Was nabyłem, co Wam zawdzięczam, czym w wielkim stopniu mnie nasyciliście, za to wszystko jestem Wam coraz bardziej wdzięczny.

Jako dzieciak nie rozumiałem Waszych traumatycznych przeżyć, do momentu, gdy w stalinowskich czasach stałem się podejrzany – bo mama w AK i Powstaniu, a Ty w polskim lotnictwie, w Anglii. Największą traumą była brutalna atmosfera w szkole oraz wyzywanie mnie od „Hitlera", z powodu mego urodzenia się w Niemczech. Nie wiedziałem jak to wytłumaczyć, jak się wybronić z owego odium, którym mnie z upodobaniem obciążano, nawet za przyzwoleniem sporej liczby nauczycieli, głównie tych z ZMP. Bo mieli do czynienia z synem wroga klasowego, ze zgniłymi i podejrzanymi inteligentami z przedwojennymi nawykami. Któregoś dnia, wreszcie zdołałem Wam to powiedzieć, choć ze wstydu zataiłem prześladowania. Po Waszej wizycie w szkole, inwektywy ustały. Lecz prześladowania i poczucie odmienności ciągnęło się za mną do końca szkoły podstawowej i początków liceum.

Zdołałem tak wiele z siebie zrzucić, otrząsnąć się pod koniec

liceum, a potem na studiach. Tak jak Wy, nie robiłem z siebie ofiary, choć przeżyłem parę mocnych stresów, podłamań i tkwień w niemal beznadziejnej sytuacji. I zdaje mi się, że tak jak Wy, zdołałem za każdym razem się odbudować, coś zyskać i być żywym, a nie tylko żyć.

Tobie Tato, też się powiodło, bo wreszcie doczekałeś się upadku komuny, bycia w pełni zwycięzcą. Zyskałeś uznanie i częściowo wewnętrzny spokój. Częściowo, bo niemal do końca nie zdołałeś się odciąć od alkoholu. Lecz od 1983 ułożyłeś sobie życie z inną, o wiele młodszą kobietą, którą poślubiłeś w dwa lata później. Gita, moja macocha, była przemiłą osobą. Porządkując rzeczy po niej odkryłem, że starannie przechowała nasze rodzinne pamiątki. Skłoniło mnie to do poszukiwań i dzięki Internetowi odnalazłem cały Twój szlak bojowy, od momentu ewakuacji z Krosna. Znalazłem nawet zdjęcia statków, i to z tamtych lat, którymi zmierzałeś z Rumunii do Libanu, potem Francji, a po jej upadku do Liverpool. I odnalazłem nazwę i zdjęcie statku, którym przypłynęliśmy do Gdańska.

Chciałbym Ci powiedzieć, że w ubiegłych latach, gdy za każdym razem po przyjeździe do Polski Gitę odwiedzałem, dość często i bez skrępowania wspominała, że mówiłeś jej, iż moja mama była największą miłością Twego życia.

Może to mnie czyni mocnym i charakternym, bo jestem

dzieckiem miłości. Z perspektywy mojej starości, do której już dotarłem, patrzę na Waszą miłość znaczoną tragicznym rysem. Przeżyć wojennych, potem lat życia w Polsce, z Twoim alkoholowym problemem i coraz większym rozjazdem wzajemnych oczekiwań i odkrywania, że na pewnych polach niezbyt do siebie pasowaliście. A w miarę upływu czasu, i kolejnych kieliszków, to się pogłębiało. Również między nami, włącznie z mocnym konfliktem, który spowodował piętnaście lat przerwy w naszych kontaktach. Nie tylko z powodu mego wyjazdu z Polski.

Pamiętam także inne Wasze opowieści, o tym jak po zakończeniu wojny zachłysnęliście się życiem, jak wspólnie z żołnierzami innych armii szaleliście w Niemczech i we Francji, a potem w Londynie.



Mama z ojcem na ulicy Merylebone w Londynie – 5 marzec, 1947, u schyłku okrutnej zimy 1946/1947, która omal nie pochłonęła mamy i mnie na statku zdążającym do Tilbury. Gdy w liceum zaprzyjaźniłem się z mamą, powiedziała mi, że na tym zdjęciu byli na „pod gazem”, po wyjściu ze spotkania z przyjaciółmi. Ale to już inne historie – zima i ich powojenne zachłystywanie się życiem. Młodym życiem, choć tak okrutnie przeoranym, fot. arch. rodzinne

Byliście tak młodymi ludźmi, brutalnie i gwałtownie doświadczeni wojną, przyspieszonym dojrzewaniem, które w bardzo wielu przypadkach wcale nie jest wskazane ani pożądane. Ten epizod był stanowczo za krótki, nawet fakt niezmiernej ulgi i szczęścia, gdy odnaleźliście ocalałe swoje rodziny i wróciliście do Polski. Któregoś dnia powiedziałeś mi, że gdy przechodziłeś ze

statku, ścieżką pomiędzy płotami, co było pierwszymi krokami na polskiej ziemi, ktoś powiedział „Trzymaj” i podał Ci butelkę wódki. Widzę to dzisiaj jako przeklęty symbol.

Być może krótkie zachłyśnięcie się wolnym życiem, skłoniło Was do tego, aby sobie urządzić w Sopocie, w naszym późniejszym, przepięknie położonym mieszkaniu na skraju lasu, niemal rok poślubny beze mnie. Mieszkałem w tym czasie u dziadków w Warszawie i wiesz, to była także dobra lekcja. Pierwsza lekcja starszych ludzi. I lekcja ich ciepłej miłości, silny związek ocalony z zawieruchy dwóch wojen. Najważniejsze, że dziś już wiem, iż dojrzewanie w relacjach ojciec-syn przebiega w obie strony, co widzę po swoim synu. Trzeba dojrzeć do ojca, ale ojciec musi także dojrzeć do syna. Wtedy zaczyna się przyjaźń i wzajemne zrozumienie.



*

Franciszek Kasprzyk (12.06.1921 – 2.07.1995)

Stopień wojskowy**:** sierżant; Nr służbowy: 784879 R C Kasprzyk F. RFA

Szlak wojenny:

1939 – obrona Krosna, internowanie w Rumunii (obóz w Ramnicu Sarat), ucieczka do Bukaresztu, pobyt w Balcic (obecnie Bałaczik w Bułgarii). Statkiem do Bejrutu i Marsylii

1940 – Lyon. Lotnisko Bron w polskiej formacji lotniczej, po

upadku Francji do Liverpool jako mechanik w polskim dywizjonie 308 (Blackpool, Coventry)

1941 – Brygadzista-mechanik w warsztatach dywizjonu 308. Coventry; roczna Szkoła Techniczna Silników Spalinowych przy zakładach Roll Royce'a w Derby.

1942 – powrót do 308. Lotnisko Northolt

1943 – 1946 -przeniesienie do nowo organizowanej polskiej jednostki lotniczej 411 RSU (*Repair and Salvage Unit* – Jednostka Naprawy i Ratownictwa), przeznaczonej do udziału w Inwazji. Czteromiesięczne szkolenie w Slough k/Londynu, przygotowanie do inwazji na kontynent w składzie 84 grupy. Inspektor wypadków lotniczych oraz d-ca samodzielnej sekcji technicznej.

17 lipca 1944 roku w grupie uderzeniowej na kontynent – zajmowanie i przygotowywanie lotnisk dla aliantów, kilkuosobowa załoga z wyposażeniem (wielka ciężarówka z narzędziami, m.in. betoniarki, dźwigi samojezdne, itp.). Z Normandii przez Belgię i Niderlandię do Niemiec (lipiec 1944 – maj 1945).

Vice komendant miasteczka Quakenbrück w Niemczech (maj 1945 – grudzień 1946). Przeniesienie jednostki 411 RSU do

Anglii, demobilizacja – grudzień 1946

1947 – 18 maj powrót do Polski

Odznaczenia ojca: dwa razy Medal Lotniczy PSP Anglia, Odznaka Bojowa 308 Krakowskiego Dywizjonu Myśliwskiego, 1939/1945 Star, France and Germany Star, Defence Medal, War Medal – RAF Anglia, Croix des Combattants Volountaries – Francja, Medal za udział w wojnie obronnej 1939, Medal Zwycięstwa i Wolności, Krzyż czynu bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Krzyż Kampanii wrześniowej 1939 – nadany w Londynie, w sierpniu 1985 roku.

Ciocia Jadzia (1916-1994)

Zygmunt Wojski *(Wrocław)*

Zygmunt Wojski urodzony 30 lipca 1941 roku w

Skierniewicach. W latach 1941-1966 mieszkał przy ulicy Łowickiej 105 w Skierniewicach. W latach późniejszych objechał służbowo, jako romanista-iberysta, całą Amerykę Łacińską, Hiszpanię, Francję, Rumunię, Niemcy i Portugalię. W magazynie „Culture Avenue" można przeczytać wspomnienia z tych podróży w cyklu **„Ameryka Łacińska, Hiszpania, Portugalia, Francja i Niemcy oczami polskiego iberysty"**.

Była jedną z trzech córek leśniczego Poborca i całe dzieciństwo spędziła w Puszczy Bolimowskiej w leśniczówkach i gajówkach. W Budach Grabskich mieszkała w pobliżu domu dziadków Janusza Reszki i opowiadała mi, jak to dziadek Janusza wołał do swojej żony: „Beniu! Lis kury dusi!" Znała i kochała Puszczę Bolimowską, jak mało kto. Była urodziwą kobietą. Poznała brata mojej Mamy, Zygmunta Łazęckiego (1915-1942) i pobrali się. Zanim został wykończony ich drewniany domek pod samym lasem wujek Zygmunt zaangażował się do partyzantki i działał na terenie powiatu skierniewickiego, między innymi we wsi Mokra Lewa, skąd pochodził jego kolega z partyzantki, niejaki Baran. Wiem, że roznosili ulotki antyniemieckie.

Babcia Łazęcka, matka wuja Zygmunta, nie była zadowolona z tej jego działalności i często zwracała mu uwagę na niebezpieczeństwo, jakie mu grozi ze strony wroga. Wuj Zygmunt odpowiadał na to jednym zdaniem: „Pilnujcie swoich garnków!"

Któregoś dnia na podwórku dziadków Łazęckich na Starbacisze pojawił się typowy niemiecki motocykl z przyczepą. Byli to oficer niemiecki i jego tłumacz, który pytał babcię o wuja Zygmunta. Babcia odpowiadała, że nie wie, gdzie on może być. Wówczas zagrożono jej, że zabiorą w takim razie jego młodszego brata Tadeusza. W końcu ustalono, że wuj Tadeusz pojedzie z nimi tam, gdzie w istocie przebywał wuj Zygmunt, a było to pod samym lasem, na miejscu budowy domu, w którym potem mieszkała Ciocia Jadzia z synem Wiesławem, o rok starszym ode mnie. Zabrali wuja Zygmunta, który początkowo przebywał w więzieniu na Pawiaku, a potem, aż do tragicznej śmierci, w Oświęcimiu.

Rozpacz babci i Cioci Jadzi była ogromna. Ciocia Jadzia, ilekroć wspominała te wydarzenia, zawsze płakała. Po zamordowaniu wuja Zygmunta władze obozu śmierci w Oświęcimiu wysłały do Cioci telegram w języku niemieckim treści następującej: „Ihr Ehemann ist gestorben” (Pani mąż zmarł). Ciocia pokazywała mi ten telegram. Aby zrozumieć jego treść poszła do biura notarialnego na ulicy Lelewela w Skierniewicach, gdzie znajoma notariuszka przetłumaczyła jej na polski tę straszną wiadomość. Można sobie łatwo wyobrazić, jak zrozpaczona była cała rodzina Łazęckich. Ciocia Jadzia jeździła jeszcze na Pawiak po odbiór ubrania wuja Zygmunta, co było kolejnym strasznym dla niej przeżyciem.

Przez całe życie Ciocia Jadzia pracowała jako sklepowa, także na Mokrej Prawej, dokąd jeździła na rowerze deszcz nie deszcz, wiatr nie wiatr, błotnistą polną drogą od lasu aż do wsi. Droga ta ma ponad kilometr długości. Klientela Cioci Jadzi zawsze miała o niej bardzo pozytywną opinię. Miała też szerokie znajomości wśród okolicznej ludności. W okropnym roku 1981, kiedy nawet herbaty nie można było kupić, na rowerach pojechaliśmy oboje z Ciocią do sklepu na Borowinach. Droga do tej przepięknej mazowieckiej wsi na skraju Puszczy Bolimowskiej wiedzie cały czas przez las. Ku naszemu zaskoczeniu w tak zwanym wówczas sklepie „Samopomocy Chłopskiej" na Borowinach półki się uginały pod paczkami różnorakiej herbaty. Wypełniłem nią cały mój plecak i miałem zapas na cały rok. Nie udałoby się to, gdyby nie fakt, że sprzedawczynią w tym sklepie była dobra znajoma Cioci Jadzi. Gdy opowiadałem o tej wyprawie moim znajomym w Argentynie, nie mogli pojąć dlaczego po zwykłą herbatę trzeba było jechać na rowerze przez las i robić takie zapasy. No, ale ludzie w Argentynie jeszcze nie wiedzą, co to jest taki prawdziwy „fest" komunizm!!!



Jadwiga i Zygmunt Łazęccy, fot. arch. autora



Jadwiga z Poborców Łazęcka, fot. arch. autora

*

Moje wizyty u niezwykle gościnnej Cioci Jadzi zaczęły się, gdy byłem w ostatnich klasach szkoły powszechnej, bo wtedy właśnie pojawiły się w naszym gospodarstwie dwie krowy, które wypędzaliśmy na nasze pole aż na skraj Puszczy Bolimowskiej, czyli od naszego domu na ulicy Łowickiej blisko 3 kilometry. Domek Cioci Jadzi był od naszego pola bardzo blisko. W latach

80. jeździłem z Ciocią na rowerze do lasu na jagody. Podczas takiego zbierania przy pięknej, niemal upalnej pogodzie oboje śpiewaliśmy piosenki. Okazało się, że Ciocia pamiętała na przykład piosenkę „Kukułeczka” ze słowami Marii Konopnickiej i muzyką Zygmunta Noskowskiego („Po tym ciemnym boru kukułeczka kuka,/ z ranka do wieczora gniazdka sobie szuka”).

W tymże okresie zacząłem uczyć we Wrocławiu języka portugalskiego. Pewnego dnia, leżąc na leżaku u Cioci na podwórku, jąłem śpiewać po portugalsku brazylijski marsz karnawałowy z repertuaru Nary Leão, pod tytułem „A banda” (Orkiestra). Przechodząca właśnie obok mnie Ciocia rzekła: „Wiesz co, Zygmuś, to znakomita muzyka do tańca. Fajnie by się tańczyło przy takiej muzyce!”

Innym razem podczas mojej wizyty zjawiła się u Cioci jej kuzynka, Fredzia Mildowa w towarzystwie warszawianki, która podawała się za śpiewaczkę operetkową. Więc ja natychmiast poprosiłem ją, by coś koniecznie zaśpiewała. Najpierw tłumaczyła się, że jest nieco zachrypnięta, bo za długo moczyła nogi w zimnej wodzie Rawki. Aliści ja mam, nie chwaląc się, dość obszerny repertuar operetkowy i gdy śpiewając najpierw sam kilka melodii doszedłem do „Arii Adeli” z „Zemsty nietoperza” *(Ja się śmieję ha, ha, ha)* pani warszawianka nie wytrzymała. Nasz śpiew rozlegał się szeroko i daleko po okolicy. Spłoszona nieco tym naszym występem Ciocia wyszła ze swego letniego

mieszkanka, gdzie coś pitrasiła i rzekła ostrzegawczo: „Zygmuś, ciszej trochę, bo zaraz tu zbiegną się ludzie, aby sprawdzić, co się dzieje!”

Na zakończenie było tango, już w letniej kuchence. Porwałem do tańca panią Fredzię, ale jej pies, sądząc, że mam wobec niej niezbyt dobre zamiary, jął na mnie skakać i niemal gryźć. Było bardzo wesoło u mojej niezapomnianej chrzestnej Cioci Jadzi, osoby szlachetnej, gościnnej ogromnie, niezdolnej w żadnej sytuacji do najmniejszej złośliwości wobec innych. Świeć Panie nad Jej duszą!

Zobacz też:

> Trzy młyny nad rzeką Łupią

„Polacy nie gęsi i swój język mają” – Jerzy Korey-Krzeczowski (1)



Jerzy Korey-Krzeczowski (1921-2007) w swoim domu w Toronto, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Jerzego Korey-Krzeczowskiego poznałam krótko po przyjeździe na emigrację do Toronto, w 2001 r. Pracowałam wówczas w „Gazecie”, największym dzienniku Polonii w Kanadzie. Jerzy Korey przyszedł do mnie do redakcji, mieszczącej się w polskiej dzielnicy, przy ul. Roncesvalles. Wydał mi się ciekawym człowiekiem, który wiele przeżył. Umówiłam się z nim na

rozmowę. I tak się zaprzyjaźniliśmy. Gdy w 2003 roku zaczęłam redagować „List oceaniczny” – comiesięczny dodatek kulturalny „Gazety” – spotykaliśmy się regularnie, raz w tygodniu. Jerzy Korey chciał, żebym spisała jego wspomnienia. Opowiadał mi o dzieciństwie, młodości, wojnie, emigracji i wielu ciekawych osobach, które spotkał w życiu. Używał przydomka „Korey” – jak mi powiedział – była to zbitka słów Korczak i Rey. Korczak – bo takim herbem pieczętowała się rodzina Krzeczowskich, a Rey, od kultu Mikołaja Reya – poprzedniego patrona Gimnazjum w Kielcach, które kończył Jerzy Krzeczowski. Mottem stało się dla Jerzego Korey-Krzeczowskiego stwierdzenie poety, że „Polacy nie gęsi i swój język mają”.

Wspomnienia Jerzego Korey-Krzeczowskiego, w dwóch częściach – do 1951 roku, czyli do wyjazdu na emigrację do Kanady i od 1951 roku, do 2003 r., są wynikiem wielu godzin spędzonych na rozmowach, spisanych, autoryzowanych i pierwotnie opublikowanych w „Liście oceanicznym” w Toronto *(nr 10, październik 2003 i nr 11, listopad 2003)*.

*

Wspomnienia do 1951 roku – Polska, Rumunia, Niemcy

*

Życie jest ciekawe. Moje było bardzo ciekawe. Zawsze

uważałem, że przez życie należy iść przebojem. Cała moja filozofia życiowa opierała się na tym, że muszę iść naprzód, i naprzód, i pokonać wszystkie przeszkody. Jeżeli nie mogę normalnie przejść przez bramę, to muszę przejść naokoło. Ale przejdę. I to było moje życiowe credo.

Rodzina, rodzice, dzieciństwo



Ojciec Antoni Marian Krzeczowski



Matka Zofia Emilia Wanda z Chmielewskich

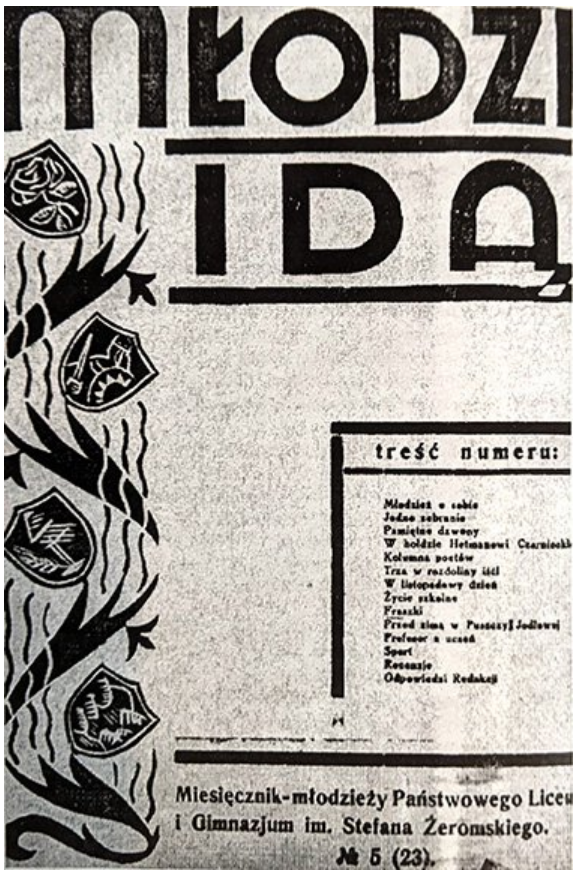
Urodziłem się 13 lipca 1921 roku jako syn Antoniego Mariana i Zofii Emilii Wandy z Chmielewskich. Moi rodzice mieszkali w Kielcach, ojciec był sekretarzem prokuratury Urzędu Wojewódzkiego. Rodzice poznali się przed wojną, a zaręczyli się w 1914 roku przed samym wyjazdem ojca, który został zmobilizowany, a cały sąd ewakuowany. Ponieważ ojciec skończył Gimnazjum z rosyjskim językiem wykładowym i wspaniale mówił po rosyjsku to go od razu zatrudniono i wkrótce wywieziono do Kijowa. Przebywał tam w randze kapitana rosyjskiej armii i zajmował się aprowizacją. Potem wybuchła rewolucja, ojciec szybko zrzucił rosyjski mundur, poszedł do polskiego komitetu obywatelskiego w Kijowie i został ewakuowany do Polski. Zanim jednak wrócił, trwało to parę ładnych miesięcy. Po powrocie ojca z Kijowa, rodzice zdecydowali, że się pobiorą. Ślub odbył się w Kielcach, 3 lipca 1920 roku. W następnym roku ja przyszedłem na świat. Wychowywała mnie mama, która zajmowała się domem, gdy ojciec pracował. Nie mieliśmy już żadnych majątków, byliśmy biedni jak mysz kościelna. Majątki były skonfiskowane po powstaniu styczniowym. Ojciec był sędzią i żył z pensji sędziowskiej. Z dawnych czasów nic nie zostało, wszystko co było, to w dawnych wiekach.

Rodzice byli bardzo tradycyjni, mieliśmy więc bliski kontakt z innymi członkami rodziny. Siostra mojej matki, Maria Szulcowa, została moją mamą chrzestną. Jej mąż był inżynierem geometrą i

przeprowadzał pomiary wszystkich majątków w województwie kieleckim. Wspominam o tym, bo potem, gdy musiałem uciekać z Kielc, jego kontakty okazały się niezwykle przydatne, gdyż wszystkich znał i wiedział, gdzie mnie może ulokować.

Pamiętam, gdy miałem ok. 3 lat, moja ciotka, Maria Szulcowa, zabrała mnie na przejażdżkę wielkim, wspaniałym wozem. Wujostwo byli dość zamożni, więc mieli szofera. Byłem bardzo podekscytowany przejażdżką. Przez siedem lat wychowywałem się jako jedynak, potem przyszła na świat moja siostra, Zosia. Mama ścięła wtedy swoje piękne, bardzo długie włosy.

Szkoła



„Młodzi idą” okładka pisma Gimnazjum w Kielcach.

Skończyłem gimnazjum im Stefana Żeromskiego w Kielcach. Kiedyś szkoła nosiła imię Mikołaja Reja, ale już za moich czasów nazwa została zmieniona. Tradycje Żeromskiego były szkole bliskie i wciąż żywe, gdyż był on kiedyś jej uczniem. Mówiliśmy o nim „starszy kolega”. Nawet na jednej z ławek szkolnych widniało jego nazwisko. Wszystko o nim wiedzieliśmy, czytaliśmy jego książki. Szkoła miała humanistyczny kierunek, a siedmiu z moich kolegów zostało pisarzami. Moim bliskim kolegą był Wiesiek Jażdżyński, który potem wykładał przez pewien czas w szkole dziennikarskiej, a mieszkał w Łodzi. Jedna z jego książek jest o naszej klasie. Korespondowałem z nim od 1990 roku, bo przedtem nie chciałem go narażać na kontakty z taką osobą jak ja. Innymi kolegami, także z mojej klasy, byli Józef Ozga Michalski, znany polityk, Marian Przeździk, pisarz poeta, Marian Sołtysiak, sławny dowódca drużyny wybranieckiej, działający w podziemiu. Starszym o rok kolegą był pisarz, Gustaw Herling-Grudziński, który wprowadził mnie do redakcji pisma szkolnego „Młodzi idą” i dawał mi pierwsze wskazówki literackie. Przez trzy ostatnie lata pobytu w gimnazjum byłem redaktorem naczelnym tego pisma. Pobyt w szkole był bardzo ciekawy, a od kiedy Wiesław Jażdżyński napisał książkę o naszych szkolnych latach, często wracam do tego okresu oraz wyjątkowych i niezwykłych ludzi.

Wojna

Potem przyszła wojna. Cóż więc mówić o wojnie?

Już na początku zacząłem działać w Organizacji Bojowej, Tajnej Armii Polskiej. Zajmowaliśmy się dywersją. Robiliśmy zamieszanie wśród Niemców, a mieliśmy do nich dobre dojście, bo nasz profesor germanista był tłumaczem u niemieckich władz i przekazywał nam różne informacje. Dzięki temu mogliśmy szczegółowo opracować zamachy. Wysadziliśmy kilka mostów oraz wiele pociągów, głównie transporty wojskowe, które szły na front i wytłukliśmy sporo Niemców. Wkrótce zostałem mianowany podporucznikiem, a za rok porucznikiem. Wojnę zakończyłem w randze kapitana. Pamiętam, że w 1941 roku byliśmy z żoną na Sitkówce, jakieś parę km od Kielc. Jest to ładnie położona miejscowość letniskowa, a my mieliśmy tam działkę. Byliśmy z moimi rodzicami na skraju lasu, gdy zobaczyliśmy przelatujące, niemieckie samoloty. Zorientowaliśmy się, że szykuje się wojna z Rosją. To było 21 czerwca, jeśli się nie mylę.



Jerzy Krzeczowski w Kotlicach, 1944 r.

Niedaleko, w dominium Kotlice, gdzie mieszkałem po ucieczce z Kielc, były rozległe tereny trawy nasiennej. Tereny te zamieniliśmy na lotnisko. Nazywały się Tarnina 1 i Tarnina 2. Lądowały tam samoloty z Anglii, przywożące do Polski różnych ludzi. Spali oni potem w moim pokoju, a na drugi dzień jechali do Warszawy. Na lotnisko zrzucano też broń dla AK. Bardzo dużo było tych zrzutów, bo w kieleckiem działała dobrze zorganizowana partyzantka. Znajomi koledzy z partyzantki u nas się zaopatrywali. W majątku była gorzelnia, mieliśmy 96-procentowy spirytus. Niemcy zabierali produkcję, więc dzieliliśmy się z partyzantami, zanim Niemcy ją zabiorą. Spirytus się sprzedawało i w ten sposób zarabialiśmy.

Kiedy Rosjanie weszli do Kotlic, zobaczyli, że jest tam gorzelnia, rozlali spirytus i bardzo szybko wszyscy byli pijani. Postaraliśmy się, żeby dostać na kwaterę sowieckiego pułkownika. On się

zgodził, postawił wartę i dzięki temu przeżyliśmy. Cała wieś była grabiona, kobiety gwałcone. Następnego dnia znalazłem rosyjskiego „kamandira", który miał samochód. Zgodził się zawieźć nas do Kielc za 2 litry spirytusu i papierosy.

W czasie wojny jeździłem na tajne komplety na Uniwersytet Jagielloński, na którym studiowałem prawo. Studiował tam też wówczas sztuki teatralne przyszły papież, Karol Wojtyłła. Jeden z profesorów ciężko chory leżał w łóżku i egzaminował nas z łóżka. Dyplomu nie dostałem, przecież uczelnia była tajna. Wydano mi zaświadczenie po polsku, że zwróciłem wszystkie książki i … (w nawiasie) – zdałem wszystkie egzaminy, podpisane przez Małeckiego, który był wtedy rektorem tajnego uniwersytetu polskiego.

Po wojnie

Zaraz po wojnie Józef Ozga Michalski z mojej klasy został przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej przy Urzędzie Wojewódzkim w Kielcach. Poszedłem wtedy do niego i mówię – Józek, trzeba ratować skarby w polskich majątkach, bo wszystko się zniszczy. Rosjanie już strzelali do obrazów. Ja mogę się tym zająć w Urzędzie Wojewódzkim, a jeśli nie, znajdziemy jakieś miejsce. A on na to – akurat potrzebujemy Inspektora Wojewódzkiego do działu kultury i sztuki. Dał mi list polecający do majora Wiślicza, który był wtedy wojewodą kieleckim. Dzięki

rekomendacji Ozgi Michalskiego, zostałem mianowany inspektorem ds. kultury. Jeździliśmy po okolicznych majątkach i zwoziliśmy wszystko, co było można. Te uratowane skarby stanowią obecnie zbiory Muzeum Narodowego, oddział w Kielcach. Zwieźliśmy między innymi księgozbiór należący do księcia Krzysztofa Radziwiłła, który mieszkał przed wojną w województwie kieleckim – ok. 60 tys. książek. Zbiory jeszcze nie zostały skatalogowane, kiedy zadzwonił szef gabinetu ministra kultury i sztuki z pytaniem, czy można by je z powrotem przekazać właścicielowi, ponieważ on pracuje naukowo, a jednocześnie jest szefem protokołu dyplomatycznego. Ja się oczywiście zgodziłem. Za tydzień zadzwonił Radziwiłł i zapytał czym się może odwdzięczyć. A ja na to – niech mi pan pomoże wyjechać za granicę do służby dyplomatycznej. Za parę tygodni, bodajże w lutym 1946, wezwano mnie do ministerstwa spraw zagranicznych i poinformowano, że jest do objęcia placówka dyplomatyczna w Bukareszcie. Potrzebny był konsul, który będzie jednocześnie prawnikiem. Ponieważ miałem wykształcenie prawnicze, zdobyte podczas wojny na tajnych kompletach na Uniwersytecie Jagiellońskim, zaproponowali mi objęcie tej placówki. Potrzebowali ludzi wykształconych, którzy władali językami. Tolerowali Radziwiłła, który był księciem, więc dlaczego nie mieliby tolerować mnie. Zaraz po wojnie ci, którzy o tym decydowali, byli ludźmi z dawnej dyplomacji z prawdziwego zdarzenia. Oni zorientowali się, że mam kwalifikacje.



Ślub z Ireną Latacz, lipiec 1944 r.

Na placówkach

Rumunia

To była niezwykła podróż. Jechaliśmy 12 dni, w przyczepionym do pociągu specjalnym wagonie. Z Polski pojechaliśmy najpierw do Bratysławy, a stamtąd do Jugosławii. Pozrywane mosty powodowały, że nie wszystkie miejsca były przejezdne, ale nie mieliśmy innej możliwości, trzeba było jakoś przejechać. Z Jugosławii dostaliśmy się nad brzeg Dunaju. Dunajem można się było przeprawić na drugą stronę rzeki. Tam przyjechały po nas auta. Akurat wtedy strajkowano i nie można było nic załatwić. Trzeba było zapłacić łapówkę rumuńskiemu dygnitarzowi, który zarządzał tym odcinkiem. Stamtąd już dojechaliśmy do Bukaresztu. Ambasada polska dostała do dyspozycji dawny pałac

Magdy Lupescu, kochanki króla Karola, który jeszcze żył i mieszkał w południowej Ameryce. Królowa Maria też za moich czasów żyła i była królową matką, a syn Michał, po wygnaniu ojca, został królem. Po przyjeździe do Bukaresztu, musieliśmy być przedstawieni królowi. Obowiązywał bizantyński protokół dyplomatyczny. Trzeba było przejść trzy kroki, stanąć, ukłonić się. Król nic. Znów trzy kroki, stanąć, ukłonić się. Wtedy król skinął głową. Potem jeden krok i król jeden krok. Wówczas ambasador mógł zacząć swoją mowę. Trenowali nas, jak to robić. Stałem obok ambasadora jako drugi do przedstawienia królowi. Ambasador przedstawił mnie po francusku, a król się zapytał – jak długo jest pan w moim kraju? – Przyjechałem cztery miesiące temu, ale już mówię pańskim językiem – odpowiedziałem. I zacząłem mówić po rumuńsku. Król bardzo się zdziwił, ale był zachwycony. Wywiązała się dłuższa rozmowa już po rumuńsku, protokół dyplomatyczny się załamał. – Musi pan wkrótce przyjechać do mojego pałacu – powiedział król. I zaprosił mnie do siebie. Język rumuński jest szalenie ciekawą mieszaniną różnych języków, ma rdzeń łaciński, dużo francuskich słów i ok. 20 procent słów pochodzenia słowiańskiego. Ja miałem w szkole niemiecki przez 6 lat, łacinę przez 8 lat, angielski 4 lata. A oprócz tego znałem trochę rosyjski, gdyż mój ojciec, który skończył rosyjskie gimnazjum zawsze liczył po rosyjsku, było mu łatwiej niż po polsku. Miałem wtedy fantastyczną pamięć, więc mogłem się w parę miesięcy nauczyć języka. Po czterech miesiącach pobytu w Rumunii,

prowadziłem wykłady w radio Bukareszt po rumuńsku na temat polskiej kultury.

Król Michał dowiedział się, że mam do dyspozycji awionetkę RWD 13, bo odebraliśmy od Rumunów, polskie samoloty, które w 1939 roku uciekając z Polski, wylądowały w Rumunii. Jeden z tych samolotów zatrzymaliśmy dla ambasady. Oblatywałem nim wszystkie polskie ośrodki. Miałem pilota, pana Krawczyka, który był instruktorem króla i uczył go latać. Wobec tego, mój samolocik miał prawo stać na królewskim lotnisku, co było niezwykłym zaszczytem. Podczas mojego pobytu w Bukareszcie, do Rumunii przyjechali Rosjanie, żeby zmusić króla Michała do rezygnacji. Ale on powiedział – możecie mnie wysiedlić z kraju, ale ja nie zrezygnuję, zawsze będę królem. Nie złożył rezygnacji i nadal ma swoje biuro w Szwajcarii. Korespondujemy ze sobą do tej pory. Zawsze się podpisuje Rex. Król zwykle dyplomatom odwołanym z placówki dawał jakieś wino ze swoich królewskich piwnic. Gdy został oficjalnie powiadomiony, że będę odwołany i wyjeżdżam z Rumunii (było to w ostatnim czasie, kiedy był jeszcze królem), przysłał mi 2 litry swojego wina z piwnicy królewskiej wraz z pozdrowieniami. Bardzo sobie ceniłem ten gest. Potem ja mu się zrewanżowałem. Szereg lat później, gdy zostałem Wielkim Mistrzem Orderu Świętego Jana Jerozolimskiego, mianowałem go Royal Protector.

Pomiędzy placówkami

W Rumunii byliśmy prawie dwa lata. Niedługo potem wyjechaliśmy do Polski, gdyż zostałem formalnie przeniesiony na inną placówkę, ale jeszcze nie było zdecydowane na jaką. Przez krótki czas miałem być radcą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie. W Polsce, żona została u moich rodziców w Kielcach, a ja dojeżdżałem do Warszawy. Proponowano mi wyjazd na placówkę konsularną w Goeteborgu w Szwecji. Pewnego dnia zostałem poproszony do dyrektora departamentu personalnego, żeby definitywnie omówić te sprawy. Kiedy przyjechałem do Ministerstwa, w poczekalni siedział kolega z MSZ-tu, który, jak się okazało, mówił po szwedzku. Ja szwedzkiego nie znałem. – Dokąd Pan jedzie? – zapytałem. – Wysyłają mnie do Baden–Baden, choć ja nie mówię po niemiecku – odpowiedział kolega. A ja na to – a mnie wysyłają do Szwecji, choć nie mówię po szwedzku. Może się zamienimy? Pan pojedzie do Szwecji, a ja do Baden-Baden, bo ja mówię swobodnie po niemiecku. Mówię też po francusku, a tam jest francuska strefa okupacyjna. Do dyrektora departamentu, weszliśmy więc obydwaj, cała sprawa została załatwiona i w ten sposób dostaliśmy nominacje. Akredytacja przy francuskiej strefie okupacyjnej w Niemczech, to dość długa formalność, która musiała przejść przez różne szczeble we Francji. Powiedziano mi więc, że mogę wyjechać najpierw do Berlina, żeby się zapoznać z problemami niemieckimi, będąc jednocześnie przydzielonym do konsulatu generalnego. To mi bardzo odpowiadało, ze względu na moją wojenną przeszłość.

Chciałem mieć satysfakcję. Niemcy, u których wynajmowałem pokój, zupełnie nie wiedzieli jak się zachowam w stosunku do nich. A to, że byłem normalnym człowiekiem, z którym można o wszystkim porozmawiać, bardzo ich zdziwiło. Pobyt w Berlinie był ciekawy. Konsulat znajdował się w sowieckiej strefie okupacji, a ja mieszkałem w strefie francuskiej. W tym czasie moja żona była w ciąży. Zostawiłem ją w Kielcach, żeby dziecko urodziło się w Polsce. Żona powiedziała, że nie chce, żeby urodził się Cygan w Rumunii, albo Niemiec w Niemczech. Dziecko musi urodzić się w Polsce. Mój syn miał przyjść na świat ok. 24 marca 1948 roku. Ja wobec tego, 21 marca wyjechałem samochodem z Berlina przez Poznań do Kielc. Ale musiałem się zatrzymać w Poznaniu na noc. Gdy przyjechałem do domu, okazało się, że już jestem ojcem. Zbliżały się wtedy święta, moja żona coś robiła w domu i to przyspieszyło poród. Bardzo mnie dotknęło, że się spóźniłem. Ale żona twierdziła, że przyjechałem akurat.

Posiedziałem jakiś tydzień w Kielcach z rodziną i zdecydowaliśmy, że jak dziecko będzie miało ok. trzy miesiące, to przyjadę po nich i zabiorę do Baden-Baden. Po tygodniu wróciłem do Niemiec. Konsulat remontowali, mieszkałem więc w Rastaedt pod Baden-Baden. Po trzech miesiącach przywiozłem żonę z dzieckiem.

Baden-Baden

Pobyt w Baden-Baden był bardzo ciekawy. Francuzi traktowali tę strefę jak swoją własność. Pierwszym językiem dla dyplomatów był język francuski, niemieckiego używano jako drugiego.

Baden-Baden to słynne uzdrowisko. Dostaliśmy bardzo ładną willę, w której mieszkał kiedyś Turgieniew, do prywatnego użytku. Dom był pięknie położony, na szczycie góry. Na tej placówce spotkałem wielu bardzo ciekawych ludzi, np. margrabiego von Baden, kuzyna księcia małżonka królowej angielskiej. Poznałem też miejsca, gdzie się rozgrywała historia. Generałowie, którzy organizowali przewrót przeciwko Hitlerowi, pochodzili z Badeni i ich rodziny tam żyły.



Jerzy Krzeczowski z synem Andrzejem, Baden-Baden, 1949 r.

Niedaleko Baden-Baden, w górach znajdowały się piękne tereny narciarskie. Tylko pół godziny drogi samochodem do wysokich gór, więc mogliśmy jeździć na nartach.

W Baden-Baden było bardzo dużo konsulatów, ok. 60-ciu. Francuzi dali nam prawa, które normalnie konsulom nie przysługują. Np. Konsulowie na samochodzie mają zwykle tabliczkę CC, Consul Consular, a my mieliśmy CD, Corpus Dyplomatic. Najbardziej bałem się Rosjan, bo przecież Rosjanie też mieli tam swoją placówkę. Więc nie bardzo utrzymywałem stosunki dyplomatyczne z Rosjanami, tyle co oficjalnie wypadało.

Raz pojechałem do Polski na wakacje, a kiedy wracałem, na lotnisku czekał na mnie cały konsulat. Wszyscy. Zastanawiałem się, co się mogło stać. – Pański zastępca uciekł – powiedzieli. Był majorem wojska polskiego, szefem misji wojskowej i jednocześnie wicekonsulem. Przyjechałem do biura i dowiaduję się – wyjechał, zabrał wszystko ze sobą i zniknął. Za trzy dni dostaję list z pieczątką z Zurychu. List jest prywatny do mnie. Mój wicekonsul pisze – niech pan przyjedzie do Zurychu, czekam na pana. Na drugi dzień zdecydowałem się przyjechać. Melduje się w hotelu, pytam o niego, a oni mówią – niestety, dziś rano wyjechał. Amerykanie go zabrali. Prawdopodobnie chciał się ze mną skontaktować i namówić mnie na ten sam krok.

Starałem się mieć jak najlepsze stosunki z różnymi dyplomatami,

między innymi z Francuzami, z Włochami, ze Szwedami. To był bardzo ciekawy okres. Mieliśmy mniej więcej 200 przyjęć rocznie, na które trzeba było pójść, a potem się rewanżować. Pamiętam raz zrobiliśmy przyjęcie u nas w domu na 150 osób. Żona miała masę roboty, ale bardzo się wszystko podobało. Innym razem byliśmy zaproszeni z żoną do konsula generalnego Francji. Siedziałem niedaleko jego żony, a moja żona siedziała koło konsula. Francuzi lubili się trochę przekomarzać. Akurat poprzedniego dnia podano do wiadomości, że Konstanty Rokossowski został marszałkiem Polski. Więc zwrócili się do mnie z pytaniem – jak Pan, jako polski patriota reaguje na to, że Rosjanin został marszałkiem Polski? A ja na to – to rzeczywiście niezwykła nominacja, ale muszę państwu powiedzieć, że pierwszym cudzoziemskim marszałkiem Polski był Francuz, marszałek Foch. To ich zaskoczyło i odpowiedzieli – bardzo dyplomatyczna odpowiedź. I już mnie nie męczyli.

Z Francuzami miałem bardzo dobre stosunki. Doskonale wiedzieli, co i gdzie się dzieje, we wszystkim się orientowali. Uważałem, że skoro Rokossowski został marszałkiem, to najwyższy czas się wycofać. Zacząłem myśleć, czy bym nie mógł wywieźć z Polski moich rodziców. Okazało się to jednak niemożliwe, bo w żaden sposób nie można było wydostać ich na paszport konsularny. Niedowierzali nikomu. Tylko moja siostra przyjechała do nas z wizytą na parę tygodni, ale rodzice już nie.

Jednego dnia, późną jesienią 50 roku, do Baden-Baden przyjechała grupa „mołojców”, polskich kurierów dyplomatycznych, którzy właściwie byli rosyjskimi agentami. Niektórzy nawet mówili po rosyjsku, a nie po polsku. Przyszli do naszego domu, żeby mnie odwiedzić. Ja akurat byłem chory, miałem ciężką grypę. Leżałem w pokoju na górze, z wysoką gorączką. I to mnie uratowało. Żona do nich powiedziała – niestety, mąż jest bardzo chory. Ale oni nie dowierzali – czy możemy go odwiedzić? – Proszę bardzo. Chcieli się przekonać. Dopiero gdy zobaczyli, że naprawdę jestem obłożnie chory i nic nie wiem, co się dzieje na świecie, dali za wygraną. Pojechali gdzie indziej i tamtego kolegę zabrali do Polski. Przewidywali, że gdy się go formalnie odwoła, może nie wrócić. Chcieli więc uprzedzić jego decyzję, dlatego go porwali. Dali mu zastrzyk usypiający i tak przewieźli przez granicę. Szereg dyplomatów w ten sposób wróciło.

Gdy doszedłem do siebie, poszliśmy z żoną na lody i powiedzieliśmy sobie, że trzeba się szybko zwijać. Ale jeszcze chciałem poradzić się mojego ojca. Nie zawiadamiałem urzędu, tylko pojechałem Orient Expresem do Polski. Zatrzymałem się w Kielcach, spotkałem się z ojcem, rozmawialiśmy. Ojciec mówi – synu ratuj się. Tu nie masz po co wracać, ratuj się. Zostawiłem ojcu i mamie trochę pieniędzy, pożegnałem się z nimi i to było wszystko. Rano pojechałem do Warszawy, wszedłem do Ministerstwa, udałem się do kolegi, który był jednym z

dyrektorów departamentu, i któremu mogłem ufać. Poszedłem do niego, a on mówi – coś ty zrobił, już na ciebie czekają, granica polsko-niemiecka została zawiadomiona, że jak będziesz wracał, mają cię zatrzymać. Ja cię muszę uratować, dam list kurierski z ważnymi papierami i pojedziesz do Czechosłowacji, a stamtąd do Niemiec. Wsiadłem więc w Orient Expres, który jechał do Baden-Baden przez Pragę. I tak wróciłem do domu.

Kiedy przyszedłem na drugi dzień do biura, zaraz po 10 rano wchodzi sekretarka i mówi – Panie konsulu tu jest pułkownik amerykański, który chce Pana zobaczyć. – Proszę bardzo – mówię. Pułkownik wszedł, przedstawił się i mówi – przyszedłem, żeby się upewnić, czy został pan ostrzeżony w Warszawie. A ja na to – tak zostałem ostrzeżony. – My prosiliśmy naszego człowieka, żeby pana ostrzegł.

Po decyzji o wyjeździe Francuzi zaczęli mi składać różne oferty. Marszałek Francji Guillaume, który został Resident General de Maroc, zaproponował mi placówkę – pracę w administracji w jego biurze w Maroku. Ale moja żona się sprzeciwiła. – Nie – mówi, to za daleko od Europy, za daleko od świata, lepiej nie. I przekonała mnie. Zdecydowaliśmy się więc poczekać na coś innego.

Wezwałem swojego przysłanego z Polski wicekonsula, który należał do partii komunistycznej. Ponieważ ja nie należałem,

więc musiał mnie pilnować. Zwracam się więc do niego – panie P., zdecydowałem zrezygnować ze stanowiska i wszystko panu przekazuję, tu jest kasa, tu są pieczęcie, paszporty, blankiety, tu jest wszystko, pan to przejmie i zawiadomi jutro Warszawę i niech zrobią, co chcą. A on na to w płacz. – Panie konsulu – mówi – jak pan może mi to zrobić, przecież pan mnie musi zabrać, ja nie jestem komunistą, jestem tylko tu wysłany jako komunista, ale ja pana podziwiam i chcę wyjechać razem z panem za granicę, ja nie chcę zostać i wracać do Polski. Ja nie mam z nimi nic wspólnego. Wzięli mnie do wojska, boso chodziłem, bo nie było butów, nabawiłem się choroby płuc. Chciałem wyjechać za granicę, żeby być od tego jak najdalej. – Ja na to – panie drogi, ja panu wszystko przekażę, pan oficjalnie zawiadomi Warszawę, a ja będę czuwał, załatwię wizę przez moich Francuzów czy Amerykanów i pana stąd zabiorę. – Czy ja mogę na to liczyć? – Absolutnie. Zacząłem więc zabiegać o wizę do Kanady dla niego. Bo ja już miałem załatwioną, przez Lestera Pearsona, ówczesnego Ministra Spraw Zagranicznych, a późniejszego premiera Kanady. Ambasador na początku nie chciał się zgodzić, ze względu na chorobę płuc mojego zastępcy – przecież my takich nie bierzemy. Ja na to – zróbcie wyjątek, człowiek nie może wrócić do Polski, nie jest komunistą i trzeba go uratować. Weźcie go do Kanady, jak przyjedzie, to dacie go do leczenia i się wyleczy. I w końcu dostałem tę wizę dla niego. Parę miesięcy pobytu w Kanadzie i go wyleczyli. Ten człowiek był tak szczęśliwy. On, jego żona i dziecko. Do końca życia był mi

wdzięczny.

Gdy trzeba było zlikwidować nasze eleganckie mieszkanie w Baden-Baden, Francuzi dali nam do dyspozycji małą willę na skraju miasta pod lasem. Powiedzieli – pan tam będzie mieszkał, naokoło jest nasz posterunek, będziemy pilnować domu. Jest pan w bezpiecznym miejscu. Stamtąd przewieziemy pana do portu, z którego pan odjedzie. Mamy pana pod opieką, niech się pan nie boi. I rzeczywiście żandarmeria francuska cały czas nas pilnowała. W Baden-Baden była z nami nasza wierna służąca, Ania Muzyczka. Jej mąż zamordował Niemca, który go prześladował w obozie i dostał w Niemczech wyrok dożywotniego więzienia. Nie można go było stamtąd wydobyć. Ania więc do nas mówi – ja z państwem do Ameryki jadę. Ania dostała wizę do Ameryki jako uchodźca. A my pojechaliśmy do Kanady. Ania była z nami w kontakcie, taka wierna służąca, jak rodzina. Kochała tego naszego chłopaka i ciągle się z nim bawiła.

Nasz syn miał wychowawczynię, Niemkę, która była siostrą katolickiego arcybiskupa. Nazywała się Frau Kohlmayer. Niemka ta była bardzo nam oddana i nauczyła Andrzeja mówić po niemiecku, co oczywiście denerwowało moją żonę. A Andrzej był dwujęzyczny, oba języki szybko opanował i nie miał z tym żadnych trudności.

Miałem też bardzo oddanego szofera, Niemca Norberta, który

dawniej był osobistym szoferem Feldmarszałka Scheinhorsta. Pochodził z rodziny niemieckich socjalistów, którzy nienawidzili Hitlera. Jego ojciec był więziony. On mi był mi tak wierny, jak tylko Niemiec może być wierny swojemu przełożonemu. W czasie naszego pobytu zdecydował się ożenić i prosił mnie, żebym był na jego ślubie i weselu. On był naszym kontaktem z zewnętrznym światem, gdy oczekiwaliśmy na wyjazd do Kanady. Mogłem mu ufać.

Gdy przyszedł dzień wyjazdu, pojechaliśmy do Bremen, który jest dużym portem. Miał nas odwieść szwedzki statek, Anna Salem. Statek ten zapełniony był do ostatniego miejsca emigrantami, jadącymi do Kanady. Płynął do Halifaxu. Odpłynęliśmy w pięknej pogodzie, mijaliśmy Danię, widzieliśmy z daleka Kopenhagę i wypłynęliśmy na pełne morze. Za parę dni zaczęła się burza. Mieliśmy płynąć osiem dni, a płynęliśmy dwanaście dni. Burza była tak straszna, że statek się nie posuwał, był rzucany w tę i z powrotem. Nie wiedzieliśmy, czy wyjdziemy z tego żywi, bo to był stosunkowo mały statek. Wszyscy ludzie chorowali na żołądek, lub wymiotowali, nikt nie mógł znieść tego kołysania. I tak nam zeszła podróż.

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego Jerzego Korey-Krzeczowskiego.

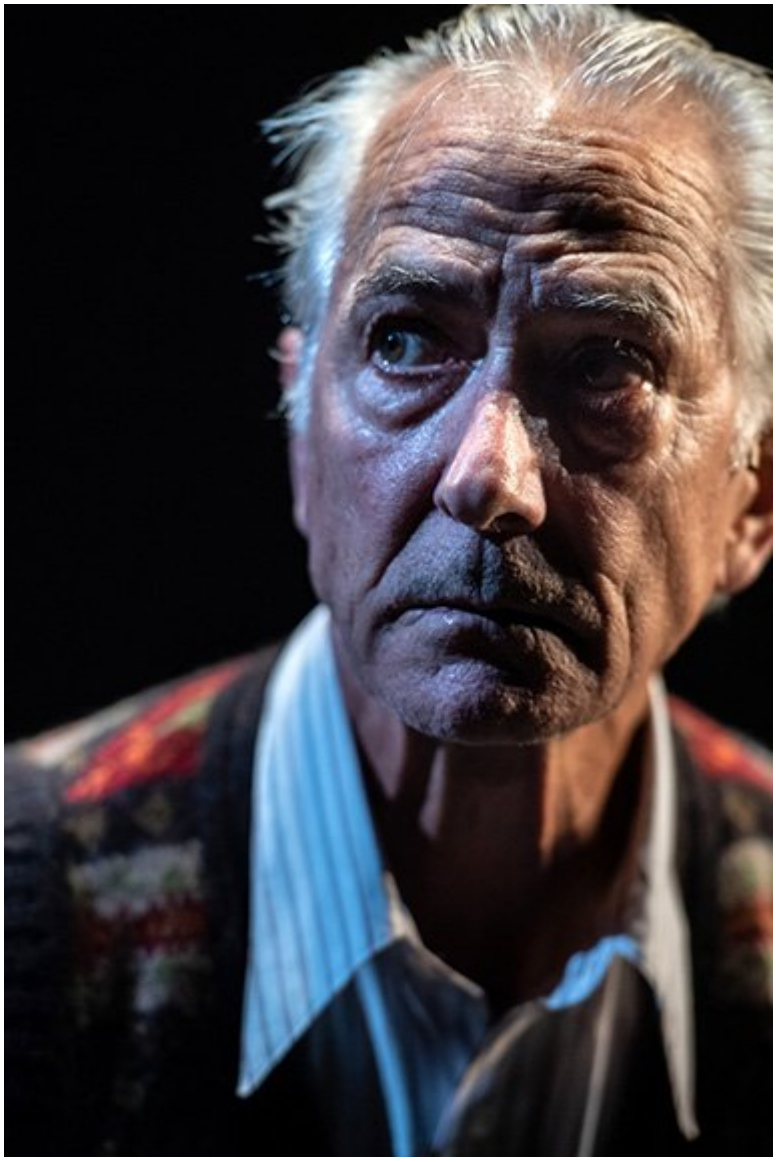
Część 2:

„Polacy nie gęsi i swój język mają” – Jerzy Korey-Krzeczowski (2)

*

***Jerzy Korey-Krzeczowski**, ekonomista, dyplomata, publicysta, poeta. Urodzony 13 lipca 1921 roku w Kielcach, w okresie II wojny świat. żołnierz Organizacji Bojowej Tajnej Armii Polskiej oraz Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej. Studia prawnicze na UJ w Krakowie (1940-44), doktorat na Uniwersytecie we Freiburgu (1948-49), doktorat na Uniwersytecie w Tybindze (1950), studia podyplomowe na Uniwersytecie Harwarda (1975). Naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Kielcach (1945-46), attache kulturalny Ambasady Polskiej i konsul w Bukareszcie (1946-47), konsul w Berlinie 1948, w Baden-Baden (1948-51). Od 1951 roku w Kanadzie. Zmarł w Toronto w 2007 r.*

Współczesny wymiar nieudanej próby Karskiego zatrzymania Holokaustu



David Strathairn jako Jan Karski w przedstawieniu „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, fot. Teresa Castracane

Monodram „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, której współautorami są Young i Derek Goldman, uwypukla ogromy ciężar misji Karskiego. Spektakl, prezentowany „off-Broadway” [w dniach 9 września – 16 października 2022 r.], miał swój debiut w Waszyngtonie jesienią 2019 r. i był także wystawiany przez Chicago Shakespeare Theater jesienią 2021 r.

Justine Jablonska *(Nowy Jork)*

Tłumaczenie: Bożena U. Zaremba

Mężczyzna wbija się w powietrze. Publiczność zamiera, po czym oddycha z ulgą, gdy ten bezpiecznie ląduje na deskach sceny. Jan Karski – dyplomata, działacz polskiego podziemia podczas drugiej wojny światowej i kurier, który przekazał światu informacje o ukrywanej wówczas Zagładzie, w czasie, gdy można było ją jeszcze zatrzymać – właśnie uciekł z rąk Gestapo, dosłownie prosto w ręce członków polskiego ruchu oporu, którzy przywrócą go do zdrowia.

Z melodyjnym wschodnioeuropejskim akcentem aktor grający Karskiego, David Strathairn, mówi publiczności, że po jego ucieczce, Gestapo aresztowało w ramach odwetu 100 Polaków. Potem rozstrzelało 32 z nich.

"Trzydzieści dwa istnienia ludzkie za życie jednego człowieka" powiedział mi współautor sztuki, Clark Young, określając tą scenę jako „moment dogłębnego poczucia klęski i traumy", jakie przeżywa bohater.

Monodram „Remember This: The Lesson of Jan Karski", której współautorami są Young i Derek Goldman, uwypukla ogromy ciężar misji Karskiego. Spektakl, prezentowany „off-Broadway"

[w dniach 9 września – 16 października], miał swój debiut w Waszyngtonie jesienią 2019 roku i był także wystawiany przez Chicago Shakespeare Theater jesienią 2021, kiedy miałam okazję go zobaczyć.

Sztuka w skuteczny sposób przypomina nam o zasadach wyznawanych przez Karskiego – prawdzie i odwadze w obliczu sił potężniejszych od niego. Dzięki niej studenci Uniwersytetu Georgetown, na którym prawdziwy Jan Karski wykładał stosunki międzynarodowe, mają możliwość zapoznania się z jego życiem i działalnością. Od 2020 r., specjalistka od pedagogiki inkluzyjnej, Ijeoma Njaka, prowadzi tam zajęcia w oparciu o tą sztukę.

„Pokazanie, że nawet w 'upadku' jest jakaś wartość, dla studentów jest ogromnie inspirujące" mówi Young. Porażka Karskiego, kiedy światowi przywódcy nie zrobili nic po otrzymaniu dowodów na trwający Holokaust, w rezultacie którego zginęły miliony ludzi, była rzeczywiście przerażająca.

Tak jak Karski, urodziłam się w Łodzi i, tak jak Karski po wojnie, ja także wylądowałam w Ameryce. Kiedy dwie przyjaciółki z dzieciństwa zaprosiły mnie, żeby zobaczyć „Remember This" w Chicago, w pierwszym odruchu wzbraniam się. Zaniepokojona wiadomościami z ojczyzny, walczę z polską częścią mojej tożsamości. Mam jednak do Karskiego ogromny szacunek, więc idę. I jestem niezmiernie wdzięczna. Słowo, prawda, dawanie

świadectwa – wartości dla mnie nieśmiertelne – teraz szczególnie są istotne.



David Strathairn jako Jan Karski w przedstawieniu „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, fot. Teresa Castracane

Jan Karski urodził się w 1914 r. Miał za sobą przygotowanie wojskowe i praktykę w dyplomacji. Na początku drugiej wojny światowej, po ataku Niemiec i Rosji na Polskę, przystąpił do właśnie formującego się podziemia. Pracował jako kurier, przekazując Rządowi RP na uchodźstwie wiadomości o tajnych

operacjach niemieckich i sowieckich okupantów. Pod koniec 1940 r. został aresztowany przez Gestapo. Torturowano go przez trzy dni. Obawiając się, że może zdradzić konspiracyjne tajemnice próbował odebrać sobie życie. Po próbie samobójczej dochodził do siebie w szpitalu wojskowym, dokąd przewiozło go Gestapo i skąd potem uciekł. Scena ucieczki jest w sztuce sceną przełomową.

„Remember This" rozpoczyna się na początku drugiej wojny światowej, kiedy Niemcy zakładają getto w Warszawie, umieszczając jedną trzecią jej mieszkańców na terenie zajmującym niewiele więcej jak dwa procent powierzchni miasta. Przywódcy Żydowskiego Podziemia aranżują wejście Karskiego do getta, aby mógł potem złożyć raport Rządowi RP na uchodźstwie, jak również brytyjskim i amerykańskim urzędnikom państwowym. Zarówno on sam jak i działacze żydowskiego i polskiego ruchu oporu uważali, że jeżeli powie światu, co się dzieje, a „możni tego świata" dowiedzą się o tym, będą mogli to zatrzymać.

Karski wszedł do getta w 1942 r. dwa razy i zobaczył horror, który nam dzisiaj jest dobrze znany: głód, śmierć i wyniszczenie. W przebraniu obozowego strażnika dostał się później do obozu przejściowego, z którego tysiące polskich Żydów transportowano do obozu śmierci w Bełżcu.

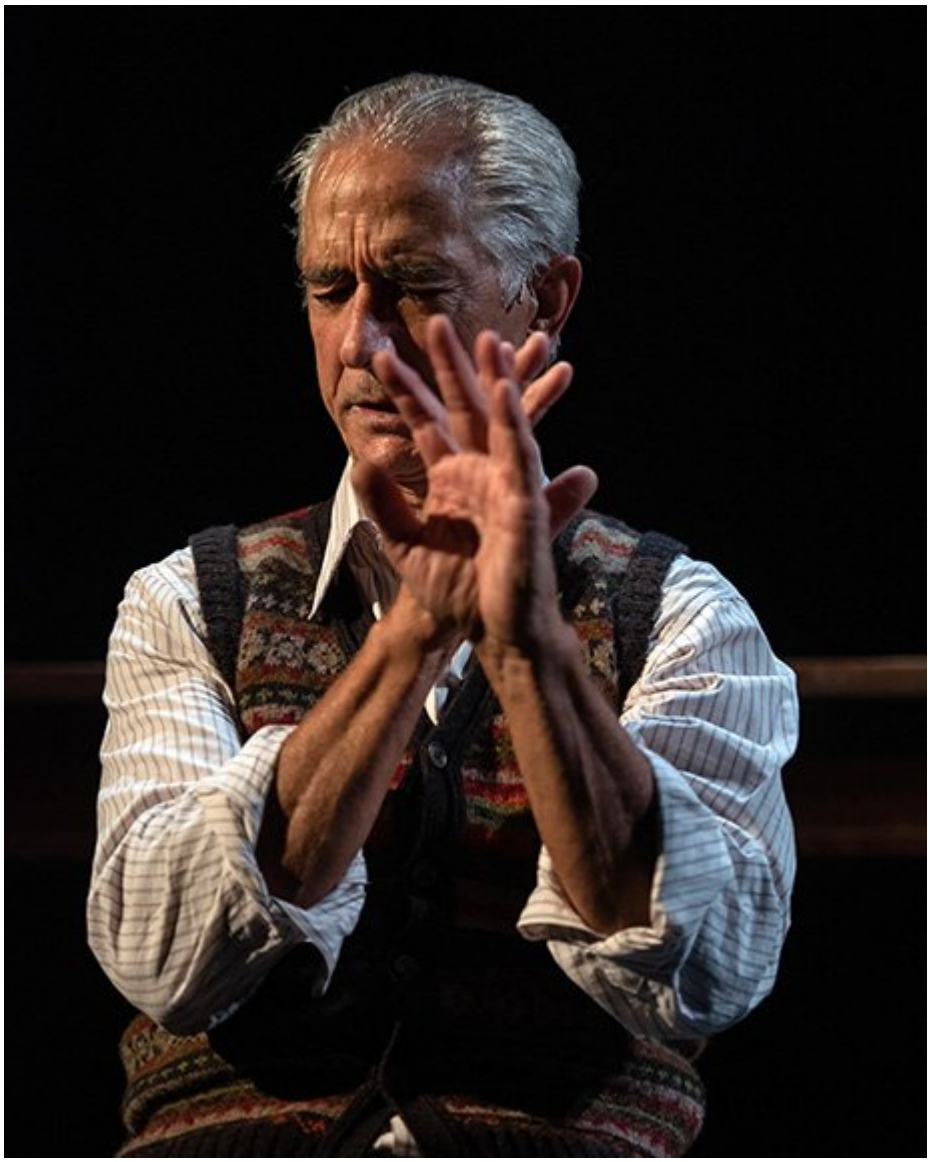
W 1943 r. Karski pojechał do Londynu i Waszyngtonu, żeby spotkać się z Winstonem Churchillem i Franklinem Delano Rooseveltem. Powiedziano mu, że Churchill jest zbyt zajęty i odesłano go do brytyjskiego ministra spraw zagranicznych. Karski spotkał się z Rooseveltem, który zwracał się do niego per „młody człowieku" i dopytywał się o los koni w Polsce, ale nie zadał ani jednego pytania o straszne wiadomości przywiezione przez Karskiego z niemieckich nazistowskich obozów zagłady.

„Powiedz swoim przywódcom, że wygramy tę wojnę" powiedział Karskiemu Roosevelt. „Stany Zjednoczone nie porzucą waszego kraju". Ale jak my dzisiaj wiemy, jak Karski oraz żydowscy przewódcy podziemia w Polsce dowiedzieli się później, wreszcie jak miliony pomordowanych nie miały już możności się o tym przekonać – ani Roosevelt, ani Churchill nie zrobili nic, żeby Holokaust zatrzymać.

Po spotkaniu z Rooseveltem Karski pozostał w Stanach Zjednoczonych. Opublikował swoje wspomnienia w 1944 r., a osiem lat później uzyskał doktorat na Uniwersytecie Georgetown w Szkole Służby Zagranicznej.

Był wykładowcą na tej uczelni przez czterdzieści lat, ale przez dziesiątki lat nie wypowiadał się publicznie na temat swoich wojennych przejść do czasu, kiedy w 1985 r. Claude Lanzmann przeprowadził z nim wywiad dla filmu dokumentalnego o

Holokauście pt. „Shoah”. W pierwszej scenie, kiedy Karski się pojawia, siedzi milcząco, łapiąc z trudem powietrze. „Teraz wracam [pamięcią]” zaczyna. Ale nie jest w stanie kontynuować. Załamuje się i odchodzi poza kadr. Traumę, która nadal go dręczy widać jak na dłoni. Po chwili Karski powraca i zaczyna powoli, z widocznym trudem opowiadać.





David Strathairn jako Jan Karski w przedstawieniu „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, fot. Teresa Castracane

W tym filmie dokumentalnym, Karski przytacza szczegóły swojego spotkania ze Szmulem Zygielbojmem, polskim przewódcą żydowskim, którego postać w dość wyraźny sposób jest zarysowana w sztuce. W przejmującej scenie Karski odczytuje list napisany przez Zygielbojma po zniszczeniu warszawskiego getta, podczas którego większość rodziny

Zygielbojma zginęła. Zygielbojm jest zrozpaczony, ale nadal wierzy, że coś da się zrobić. „Odpowiedzialność za zbrodnię wymordowania całej narodowości żydowskiej w Polsce spada przede wszystkim na sprawców, ale pośrednio obciąża ona również ludzkość całą, Narody i Rządy Państw Sprzymierzonych, które do dziś dnia nie zdobyły się na żaden czyn konkretny w celu ukrócenia tej zbrodni" mówi list – jak się okazuje – samobójczy.

Zygielbojm ma nadzieję, że jego ostateczny krok w końcu spowoduje działanie. Ale tak się nie dzieje.

Ijeoma Njaka z Georgetown przytacza zaciekłe debaty studentów Georgetown: „Co to znaczy, mówić, ogłaszać, jednocześnie żyć tą prawdą w sytuacji tak ogromnego sprzeciwu?" pytają jej studenci. „Także dyskutują nad sprawą bycia świadkiem traumy, która nie jest ich, co jest szczególnie istotne biorąc pod uwagę zaangażowanie wielu studentów w sprawy równości rasowej i społecznej", dodaje.

Dla mnie te sprawy są także istotne i dlatego sztuka robi na mnie takie wielkie wrażenie.

Karski zmarł w 2000 r. Dziesięć lat później, przyjechałam do Waszyngtonu, żeby studiować w szkole dziennikarskiej, po czym pracowałam jako dyrektor programowy w Ambasadzie RP, w

której Karski się zatrzymał, gdy przyjechał ostrzec Roosevelta. Wszędzie czułam jego obecność: na korytarzach Ambasady, w Sali Błękitnej, gdzie organizowaliśmy imprezy i gdzie Karski siedział podczas wywiadów, które widziałam na YouTube. Pewnego lipcowego popołudnia, w rocznicę jego śmierci, towarzyszyłam przedstawicielom Ambasady, aby złożyć wieniec na jego grobie, na stromych wzgórzach Cmentarza Mount Olivet. Nagrobek jest surowy – tylko jego nazwisko i nazwisko jego żony, daty urodzin i śmierci. Byłam także przy jego ławeczce na Uniwersytecie Georgetown, gdzie Njaka prowadziła ostatniej jesieni swoje zajęcia o Karskim.

Pójście na „Remember This" to moja pierwsza wizyta w teatrze od początku pandemii. Siedziałam jak zahipnotyzowana. Robiłam notatki na programie. I płakałam.

Płakałam ze wzruszenia nad Karskim i jego odwagą, nad bojownikami ruchu oporu, którzy nieustannie mu pomagali, ale także za współczesną Polską – nad tym małym państwem, które tak wiele znaczy dla mnie i dla moich polskich rodaków, a prawdopodobnie nie tak bardzo wiele dla innych. Myślę o tym, że największa zbrodnia przeciwko ludzkości dokonała się na naszej ziemi i jak przerażająca to spuścizna. Zastanawiam się, jak głęboko tkwi trauma w tych z pośród nas, którzy potracili członków swoich rodzin i w tych, których rodziny przeżyły. (…)

Na końcu sztuki Karski mówi o tym, co widział i czego był świadkiem: „Dręczy mnie to. I chcę, żeby tak pozostało”. Mnie też dręczyło i dalej dręczy. I chcę, żeby tak pozostało.

Zdjęcia z przedstawienia były zrobione podczas spektaklu w Shakespeare Theater Company w Waszyngtonie, w październiku 2021. Autorka: Teresa Castracane.

*



Justine Jablonska

Justine Jablonska *jest amerykańską dziennikarką polskiego pochodzenia, autorką licznych artykułów, wywiadów i esejów. Obecnie pracuje jako redaktorka merytoryczna w Nowym Jorku.*

Esej był opublikowany w Zócalo Public Square pt.

”.

*

*

Historia przedstawienia: Sztuka „Remember This: The Lesson of Jan Karski” powstała w 2014 r. w The Laboratory for Global Performance and Politics na Uniwersytecie Georgetown, w ramach obchodów stulecia urodzin Jan Karskiego (wówczas pt. „Remember This: Walking with Jan Karski”). W rolę Jana Karskiego wcielił się David Strathairn, amerykański aktor filmowy i teatralny, nominowany do Oskara za rolę pierwszoplanową w filmie „Good Night, and Good Luck) i laureat nagrody Emmy. W ówczesnej formie, z wieloosobową obsadą, sztuka pokazywana była m. in. w Muzeum Dziedzictwa Żydowskiego w Nowym Jorku i w warszawskim teatrze IMKA (z udziałem studentów Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie). W formie monodramu po raz pierwszy została pokazana w 2019 r. na Uniwersytecie Georgetown, podczas obchodów 100-lecia Szkoły Służby Zagranicznej, gdzie Jak Karski był wykładowcą przez prawie 40 lat.

Od tego czasu sztuka była wystawiona na deskach teatrów amerykańskich, m.in. w Gonda Theater (Waszyngton), Chicago

Shakespeare Theater (Chicago), Shakespeare Theater Company (Waszyngton) oraz Theatre for A New Audience (Nowy Jork). W planie są pokazy w Polsce w 2023 r.

Twórcy: Clark Young i Derek Goldman (scenariusz), Derek Goldman (reżyseria), David Strathairn (jako Jan Karski). Na podstawie sztuki powstał film, którego premiera odbyła się w lipcu 2022 r. na Festiwalu Filmów Żydowskich w San Francisco. Więcej informacji na stronie Jan Karski Educational Foundation – partnera projektu: .

*

Zobacz też:

> Ambasadorzy spuścizny Karskiego

> Nieskończona dychotomia

Dzieci na wojnie



Wilek Markiewicz w swojej pracowni, czerwiec 2004 r., fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Dwudziestego czwartego lutego rozpoczęła się wojna na Ukrainie. Świat oniemiał i się zatrzymał w przerażeniu. Niewyobrażalne okrucieństwa miały miejsce w Europie podczas II wojny światowej, ból i cierpienie wciąż spotykają ludzi w

różnych częściach świata, gdzie toczą się wojny powodowane chciwością, walką o władzę, o panowanie nad światem… I nic? Człowiek się nie uczy? Dalej pozwalamy agresorom na akty terroru? Przez pierwsze dwa-trzy miesiące media bez przerwy podawały wieści z frontu. Oburzaliśmy się, gdy odkrywano na Ukrainie kolejną zbiorową mogiłę i krzyczeliśmy NIE!, rzuciliśmy się do organizowania pomocy dla uchodźców, dziesiątki wolontariuszy z całego świata przyjeżdżało na granicę polsko-ukraińską. Wydwało nam się, że protest świata i sankcje spowodują zatrzymanie tego koszmaru, który we współczesnym, jak nam się wydaje, cywilizowanym świecie, nie powinien się wydarzyć. Tymczasem wojna trwa. Codziennie giną ludzie, codziennie są okaleczani i okradani ze swojego życia. A my wróciliśmy do swoich obowiązków, pracy, wakacyjnych planów, spotkań. Ile przecież można oglądać koszmar wojny? Znieczuliliśmy się, zobojętnieliśmy. Przestaliśmy słuchać Wołodimira Zelenskiego i jego dziesiątek apeli do świata. Żyjemy swoim życiem. W tym kontekście sięgnęłam po dawny tekst autora magazynu, świetnego, choć często mrocznego artysty z Toronto, zmarłego w 2014 roku, Wilka Markiewicza. W okrutnych czasach najbardziej cierpią najsłabsi, zależni od dorosłych. A wojna nie tylko okrada dzieci z ich dzieciństwa, ale i zabiera im przyszłość.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, redaktor

*

Wilek Markiewicz *(Toronto)*



Wilek Markiewicz, Gunchild

Otrzymałem incognito faks artykułu z *Toronto Sun*: „Zbyt młodzi by umieć czytać, dość starzy by umrzeć” pióra J. Bushinskiego. Tekst faksu był nieczytelny, lecz tytuł mnie wystarczająco zainspirował, by się zastanowić nad problemem dzieci bądź walczących, bądź pasywnych ofiar, z premedytacją lub bez.

Victor Hugo pisał o Gavroche’u, który zginął na barykadach Paryża. Holendrzy unieśmiertelnili historię chłopca, który zmarł z zimna zatykając palcem cieknącą tamę. Wojna jest wojną, czy

to przeciw ludziom czy elementom. Pisałem dawno o fakcie z Powstania Warszawskiego, który mi opowiedział naoczny świadek – Włoch służący w Wehrmachcie: dziewczynka może 13-letnia, w mundurku harcerskim, strzelała z automatu do Niemców. Szrapnel oderwał jej ramię i ona kontynuowała strzelając JEDNĄ RĘKĄ, aż do chwili śmierci. Insynuowanie, że rodzice ślą dzieci na śmierć (karykatura w złym guście akompaniująca artykuł w *Toronto Sun*), jest oszczerstwem: na przykład ci, którzy brali udział w Powstaniu jako dzieci, powiedzieli mi, że umknęli rodzicielskiej kontroli.

W Afganistanie, uzbecki lord wojenny (więc anty-Taliban), 14-letni i żonaty (!!!) przedstawił się zachodnim dziennikarzom jako dziedziczny szef, jednak akceptujący rady bardziej doświadczonych wujów. Powiedział, że dzieci dużo młodsi od niego biorą udział w walce. Jego zdaniem, dzieci są doskonałymi bojownikami, bystrymi, odważnymi i szybszymi od dorosłych. Więc walczące dzieci pozostaną prawdopodobnie tu i ówdzie faktem.

Teraz o dzieciach – pasywnych ofiarach: słyszeliśmy o historiach żołnierzy (prawdopodobnie upitych), którzy zawiązywali niemowlęta w worku z kotem i wrzucali do rzeki. Wiemy o niemowlętach nabitych na pal. Lecz przeważnie dzieci padają jako ofiary przypadkowo. Niektóre tragedie są bardziej do uniknięcia od innych. Weźmy za przykład dzieci izraelskich

osadników w palestyńskich terytoriach: ci osadnicy nie są cywilami lecz komandosami. Kolonizacja jest aktem wojennym, w którym każdy dom jest polem walki. Wystawianie dzieci na podobne warunki świadczy o totalnym braku odpowiedzialności ze strony rodziców.

Czasem dzieci są zaciągnięte do armii, jak w niektórych krajach Afryki. Praktycznie we wszystkich sytuacjach dzieci – ochotnicy działają poza nawiasem regularnych armii. Naziści zwali partyzantów bandytami. Dziś oni są zwani terrorystami. Dla mnie, nieregularni są bojownikami o wolność, gdy walczą w samoobronie i terrorystami, gdy działają jako agresorzy. Ci, którzy atakują cywilów są zawsze terrorystami. Różnica się zaciera miedzy nieregularnymi, a lotnikami, którzy, w Afganistanie na przykład, z bezpiecznej odległości walili we wszystko co na dole.

*

Zobacz też:

> Filozof bytu

Wilek Markiewicz – drzeworyty

Wrzesień pełen wrzosów i… wojennych wspomnień



Fot. pixabay

Włodzimierz Wójcik *(1932-2012)*

W tym miesiącu dość często, przez ostatnie kilkadziesiąt lat, jeździłem pociągiem do Puław, do Kazimierza nad Wisłą, do Nałęczowa. Kiedy pociąg zostawiał za sobą Jedlińsk zwykle zaczynałem intensywnie obserwować skraj lasów wypatrując pojawiających się co pewien czas szerokich połaci wrzosów. Tak, to kwitnące wrzosy nadały nazwę dziewiątemu miesiącowi roku. Zresztą miesiąc ten bywał niekiedy nazywany świętomichalski, od imienin Św. Michała przypadających na 29 dzień września. Albo też w niektórych regionach nosi nazwę pajęcznik” – po prostu od babiego lata, od wlokącej się po krzewach, po roślinach srebrzystej „pajęczyny”.

Pierwszy września 1939 roku był przeze mnie wymarzoną datą. Miałem iść do szkoły podstawowej w Łagiszy; tornister był spakowany wzorowo. Tymczasem przyszło nam udać się na wrześniową tułaczkę zwykłą furmanką sąsiadów. Z Łagiszy przez Dąbrowę Górniczą, Łosień, Niegowonice, Bukowno – klucząc po leśnych wertepach – po paru dnia dotarliśmy przez Pieskową Skałę do samej Skały. Tam nas niemieckie oddziały zawróciły. Oto nastał czas okupacji. Zaczął się wyjątkowo dramatycznym widowiskiem. Wieczorem 11 września wróciliśmy z kilkudniowej tułaczki do domu. Kiedy wyszedłem na podwórze o szarej godzinie, uderzyła mnie okropna łuna unosząca się nad Zamkiem Piastowskim w Będzinie. To Niemcy palili synagogę, a wraz z nią kilkudziesięciu Żydów. To było moje pierwsze osobiste porażenie okupacją… Kolejne przyszło w postaci wieści ze Wschodu. To nielojalny sąsiad 17 września zaczynał „wyzwalać" „uciskanych" przez „polskich panów kresowych" Litwinów, Bialorusinów i Ukraińców.

Przeżycia polskiego września znalazły duży odzew w polskiej literaturze. Dość wymienić – przykładowo – reportaże Zofii Petersowej *Wrzesień Warszawy 1939* (1946), Melchiora Wańkowicza artykuły publicystyczne *Wrzesień żagwiący* (1947), Jerzego Putramenta powieść *Wrzesień* (1952), wreszcie Jana Parandowskiego wspomnienia *Wrześniowa noc* (1962) oraz Wandy Melcer *Wrzesień kobiety* (1965). Wizję jesiennych wrzosów zabrał w pamięci do stalagu żołnierz września,

Konstanty Ildefons Gałczyński, by po latach uformować ją w kształt poetycki *Pieśni o żołnierzach z Westerplatte*. Przede wszystkim polski wrzesień trafił – jako bohater – w świat ludowej pieśni ulicznej i podwórkowej. Pamiętamy, że w jednym z filmów powojennych Leonarda Buczkowskiego *Zakazane piosenki* uliczne śpiewaczki Alina Janowska i Hanka Bielicka śpiewały dziarsko piosenkę ze słowami Julii Ryczarowej: „Dnia pierwszego września, roku pamiętnego / wróg napadł na Polskę z kraju niemieckiego …”.



Moneta upamiętniająca 70. rocznicę niemieckiej i rosyjskiej inwazji na Polskę w dniach 1 i 17 września 1939 r. oraz ostrzału polskiej bazy wojskowej Westerplatte w Wolnym Mieście Gdańsku, przód: popiersia trzech dowódców Westreplatte – por. Stefana Grodeckiego, kpt. Mieczysława Słabego i kpt. Franciszka Dąbrowskiego, dar Narodowego Banku Polskiego, kolekcja

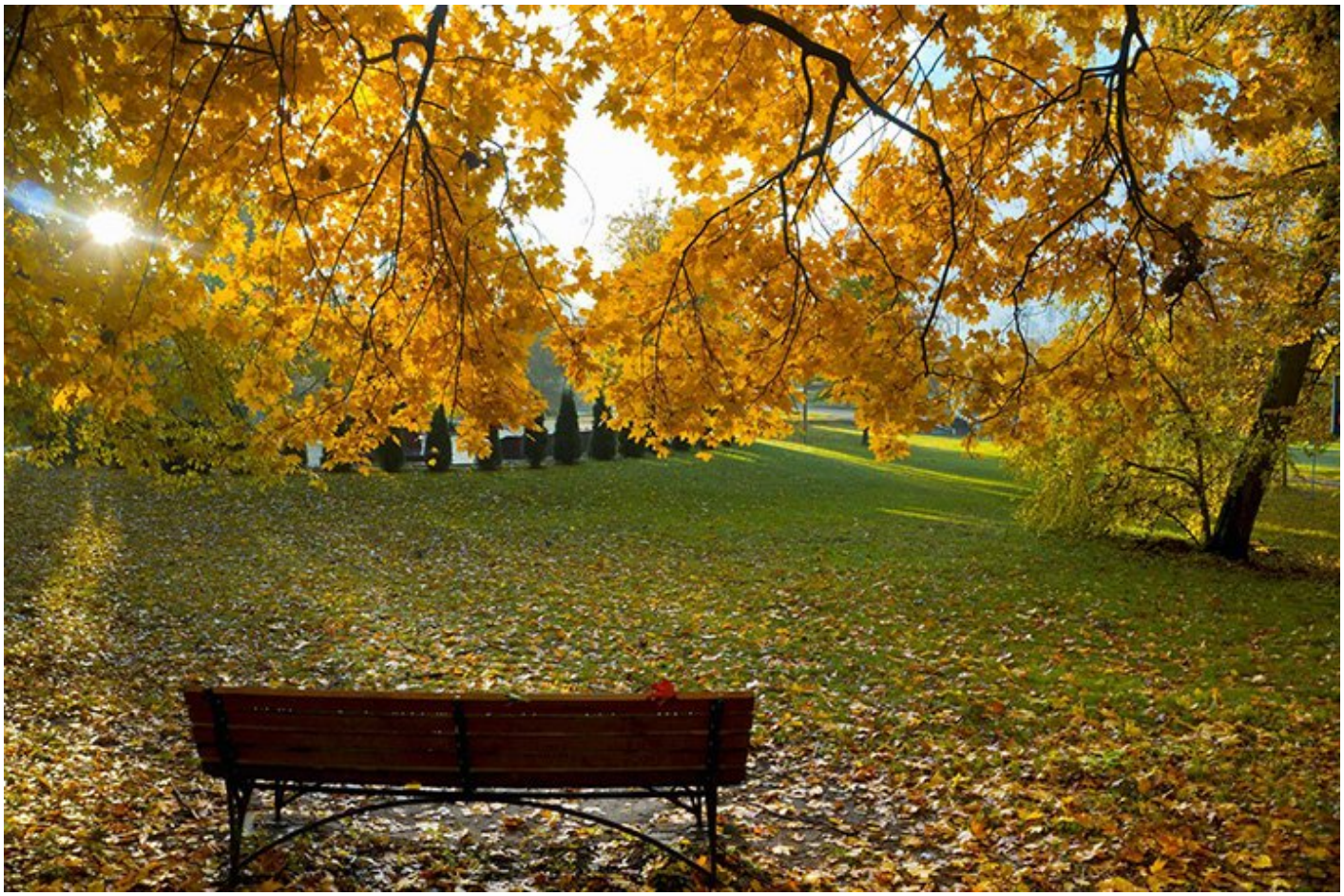
Berlin State Museums, fot. Reinhard Saczewski, źródło wikimedia commons

Dramat września nieśli za sobą na Zachód nasi poeci, zwłaszcza skamandryci. Pisał o tym w *Abecadle wspomnień* Antoni Słonimski, relacjonował mi też te przeżycia wrześniowe Stanisław Baliński, gdy w czerwcu 1984 roku spędzałem z nim wiele godzin dziennie w Acton Hospital w Londynie. W lipcu 1984 Maria Kuncewiczowa w swojej „Kuncewiczówce" Kazimierskiej pokazywała mi miejsca, w których żegnała idących na tułaczkę Słonimskiego, Balińskiego, Wierzyńskiego i Tuwima z żonami. Niebawem sama z mężem Jerzym podążyła ich tułaczym szlakiem.

Okrucieństwo „czasów pogardy" ja i moi rówieśnicy próbowaliśmy w jakimś stopniu neutralizować. Tworzyć rodzaj antidotum. Chodziło o stworzenie klimatu „przedwojenności", normalności w świecie nienormalnym, w świecie – jak to określił Kazimierz Wyka – „na niby". Uczyliśmy się intensywnie historii Polski; tej bohaterskiej; obyczaju naszych babć i dziadków. Bawiliśmy się przysłowiami w rodzaju:

„Wrzesień jeszcze w słońcu chodzi, babie lato już się rodzi"; „Burze we wrześniu nieraz wywróżą, że rok następny da zboża dużo"; „Pierwszy września pogodny, w zimie czas wygodny"; „Chodzi wrzesień po rosie, zbiera grzyby we wrzosie"; „Otóż wrzesień, a więc jesień, gospodarze ręce w kieszeń"; „Gdy we

wrześniu tłuste ptaki, w zimie mróz nie lada jaki”; „Gdy wrzesień z pogodą zaczyna, zwykle przez miesiąc pogoda trzyma”; „Wrzesień miesiąc wyborowy, wyskoczył z trawy borowik”; „We wrześniu tak jak w sierpniu, tylko dni są krótsze”; „Gdy się wrzesień rozpoczyna, na majówkę gna rodzina”; „Kiedy wrzesień, to już jesień, wtedy jabłek pełna kieszeń”.



Fot. pixabay

Twórczość Wincentego Pola – którego dosłownie pochłanialiśmy – cała pachniała Polską, zwłaszcza *Pieśń o ziemi naszej* ze zwrotką:

> Coraz ciszej – Wrzesień! Wrzesień!
>
> Słońce rzuca blask z ukosa,
>
> I dzień krótszy chłodna rosa,
>
> Ha! I jesień polska jesień!

Bliski też nam był Julian Tuwim. W wierszu *Kartofle* (tom *Rzecz Czarnoleska*) z wyjątkową maestrią oddawał w formie poetyckiej wykopkowo-ogniskowy nastrój jesieni w pejzażu rustykalnym, gdzieś nad brzegami płynącej swojskiej Pilicy:

> Czujesz? Ogniskiem pachną te pogańskie lata,
>
> Gdy iskrami trzaskały żagwie jałowcowe
>
> I dym wełnistym kłębem za wiatrem ulatał,
>
> I marszczyły się z żaru kartofle surowe.
>
> (...)
>
> I nigdy tak kartofel podany do stołu

> Nie nęcił, jak ten właśnie, z przyswędem i węglem,
>
> Łapczywie wytrącony patykiem-pocięglem
>
> Z siwej, gorącej mąki leśnego popiołu.
>
> Z dłoni go w dłoń przerzucać! dmuchać, bo gorący!
>
> Parzy obłuskiwaną spieczoną łupiną!
>
> Tknąc w sól z papierka! Wchłonąć w usta chuchające,
>
> Żeby się na skaczącym języku rozpłynął!
>
> Łódkami się przez siwą Pilicę wracało,
>
> Z prądem, z wiatrem, pod wieczór, pod zorzę wiśniową,
>
> W milczeniu, zamyśleniu, z gorejącą głową.
>
> Tak się ogień, popioły i smutek poznało.

Dziś – na szczęście – nie wszystko we wrześniu musi się kojarzyć z bólem, choć przecież pod koniec tego miesiąca, przed laty, dogasało powstanie warszawskie. Jak Feniks z popiołów

bezustannie rodzi się nasze polskie życie tętniące przez lata, kwartały pór roku i przez miesiące. Teraz po latach grozy mój wrzesień znów się uśmiecha nitkami babiego lata w łagodnum już słońcu. Do tornistra pakuję książki, lecz już nie moje… Książki mej wnuczki Julisi. Coś się zmienia. Nie zmienia się jedynie zachwyt nad wrzosami przy torze kolejowym za Jedlińskiem…



Fot. pixabay

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

*

Zobacz też poprzednie artykuły z serii „Nasze miesiące”:

> Lipcowe rocznice

> Upojny klimat czerwca